



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ

ROK 1924. WARSZAWA, 18 PAŹDZIERNIKA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

T R E Ś Ć N U M E R U :

W sprawie harcerstwa — *Stanisław Sedlaczek*. Reforma gospodarstwa kobiecego — *F. S.* O reformę szkolnictwa żeńskiego — *K. S.* Teatr Narodowy — *W. J.* Miasta i kobiety (wrażenia) — *Marja Kuncewiczowa*. Jarzębinowa ziemia — *Marja Dąbrowska*. Wiersze: „Konik Polny” — *Wacława Grodzicka-Czechowska*. Samotny Pan — *N. Samotyhowa*. Drogi duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceyssingerówna*. Jak straszna bajka — *C. W.* Poetka legend (dok.) — *Dr. M. Kastarska*. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — *K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogii (c. d.) — *Emilia Tecka*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet — *I. Fabrycowa*. Z Nałęczowa — *Marja Hornowska*. Z Teatrów — *p.* Z książek — *Tadeusz Jaworski*. Czepeczki (—). Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. TABLICA KROJÓW.

W SPRAWIE HARCERSTWA

Chętnie użyczamy łamów „Bluszczu” władzom naczelnym harcerstwa w dyskusji nad skautingiem polskim, uważamy bowiem, że jest to poważne i żywotne zagadnienie, dotyczące wychowania moralnego i fizycznego naszej młodzieży. Przez podnoszenie sprawy harcerstwa w prasie społeczeństwo nasze zainteresuje się skautingiem, co wpłynie pomyślnie na rozwój organizacji.

Ta myśl przyświecała naszej Redakcji, gdy w sierpniowych numerach „Bluszczu” umieszczała uwagi, poświęcone harcerstwu.

(Przyp. Red.).

Artykuły, które ukazały się o Harcerstwie w „Bluszczu” wywołały odzew w innych pismach i poruszyły

trochę opinię publiczną, za co „Bluszczowi” należy się wdzięczność.

Sprawa jest poważna, a przyczyny niedomagań niektórych zwłaszcza środowisk harcerskich są wielorakie i głęboko nieraz sięgające w naszą przeszłość i w nasz charakter narodowy. Kwestja poprawy, to przede wszystkim kwestja poprawy naszego charakteru.

Najpierw trochę na temat podniesionych wątpliwości. Twierdzenie najpoważniejszych nauczycieli i nauczycielek, że Harcerstwo jest prawie zawsze przyczyną złych stopni, byłoby twierdzeniem poważnym, gdyby było oparte na danych statystycznych, choćby z jednego roku z dostatecznie dużego obszaru. Inaczej są to tylko obserwacje (założmy nawet, że prawdziwe), poszczególnych ludzi w poszczególnych środowiskach, a na to mogę odpowiedzieć danymi z sprawo-

zdań opiekunów drużyn, stwierdzającymi, że w poszczególnych środowiskach właśnie harcerze uczą się najlepiej. Twierdzenie pedagogów, „że dziś źli uczniowie są niejako premjowani przez organizację harcerską: otrzymują wysokie godności i stopnie”, trzeba uważać za złośliwość, jeżeli się nie uzna, że jest to tylko lapsus.

Zarozumiałość zarzuca się „młodocianym dygnitarzom i dygnitarkom” często słusznie — a „przyzwyczajenie do rozkazywania przechodzi wprost w despotyczne narzucanie woli swojej”. — Jeżeli to było połączone z prawym charakterem, rozumem, wyrobieniem społecznym i taktem, byłoby w naszych warunkach bardzo pożądaną cnotą, a nie wadą.

„Stronę etyczną wychowania harcerskiego podporządkowano dążeniu

do wyrobienia tężyzny fizycznej, wyćwiczenia sportowego; cnoty harcerskie jakoby nie są przestrzegane dość ściśle, a nawet praktyka życia przedstawiać ma podobno obrazy zgoła przeciwnie zadaniom wychowania harcerskiego". Tak jest zapewne w niektórych drużynach, ale temu się przeciwdziała, z drugiej strony jednak stawiający taki zarzut winienby wyjaśnić (choćby przez powołanie się na jakieś dzieło) 1) jak rozumie stronę etyczną wychowania, jakimi metodami on by tę strofę etyczną kształcił 2) wykazać, że rozumie metody skautowe w których kształcenie charakteru przez gry, zabawy—czasem równocześnie, a czasem głównie wyrabiające tężyznę fizyczną odegrywa bardzo ważną rolę i jest istotnym dla skautingu.

Próbka powyższa miała na celu wykazać, że naprawdę zagadnienie jest skomplikowane, że najpierw trzeba się porozumieć, o czym mówimy; o obserwacjach w poszczególnych środowiskach, czy o poziomie prze-

ciętym harcerstwa, czy o złym stanie w pewnej ilości środowisk, czy o wysiłkach szczupłego grona ludzi, którzy prawie bez żadnej pomocy szerszego ogółu społeczeństwa kierują pięćdziesięcioletnią rzeszą młodzieży.

Musimy się także i to przedewszystkiem zorientować i porozumieć, jaki cel ma nasza dyskusja: Poprawianie Baden-Powella i polskich twórców Harcerstwa; informowanie dziennikarskie ludzi, którzy lubi coś czasem o pracy społecznej przeczytać i kupują sobie prawo krytyki za rzucony czasem grosz, — czy zainteresowanie i pozyskanie faktycznego poparcia ludzi dobrej woli.

W braku tego poparcia w pracy codziennej drużyn i kierownictwa leży głównie źródło niedomagań harcerstwa.



Nie dajmy się „uwodzić pozorom“, sięgajmy „do głębi“, do samej treści życia organizacji harcerskiej, „wytwórzmy sobie o niej jak najdokładniejsze pojęcie“, ale po to, aby zaraz stanąć do pracy, bardzo wdzięcznej i dającej dużo zadowolenia, choć nieraz trudnej i wymagającej ogromnego taktu, równowagi, panowania nad sobą — a przedewszystkiem rozumienia młodzieży.

O ile szanowna Redakcja „Bluszczu“ łaskawie wskaże mi nazwiska i adresy dziesięciu osób, które obecnie w harcerstwie nie pracują, a chciałyby się podjąć jakiejś pracy społecznej, w drużynie czy w kierownictwie, będę przekonany, że dyskusja ma prowadzić do konkretnych wyników. Ofiaruję parę artykułów wyjaśniających, jakie są według mnie braki harcerstwa, jakie ich powody i przyczyny oraz jak można by im zaradzić.

Stanisław Sedlaczek
Naczelny Inspektor Harcerstwa

REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

KONKURS LÉPINE'A

I.

Od 5 września do 5 października ma miejsce w Paryżu, na Polu Marsowym, t. zw. „Konkurs Lépine'a"—wystawa nowych wynalazków z dziedziny zabawkarstwa, gospodarstwa domowego, biurowości, automobilizmu, lotnictwa i telegrafu bez drutu. Ta jedyna w swoim rodzaju wystawa zawdzięcza swe istnienie inicjatywie Lépine'a, prefekta policji. Zauważył on, zwiedzając z urzędu jarmarki, że pomysły, a tanie zabawki, specjalność francuskiego rzemiosła, poczynają zanikać; drobni wynalazcy, przytłoczeni coraz cięższymi warunkami życia, odsunięci w cień przez stereotypową produkcję fabryczną nie mieli już czasu ani ochoty na wykonywanie swych misternych arcydzieł. Chcąc zaradzić temu stanowi rzeczy, zorganizował Lépine w 1901 roku wystawę zabawek, by wydobyć na światło dzienne ukryte skarby pracowitości i inwencji, oraz zachęcić zapomocą nagród, pochwał i wzmianek w prasie anonimowych dotąd wytwórców do dalszych wysiłków. Ten doskonały pomysł zyskał ogólny poklask; przez sale wystawowe przewinęło się około 20 tysięcy osób.

Wkrótce potem powstało „Stowarzyszenie Drobnych Fabrykantów i Wynalazców Francuskich“, mające

na celu obronę interesów tej tak często wyzyskiwanej sfery. Jest przecież rzeczą powszechnie wiadomą, że nieśmiałość, brak uświadomienia lub potrzebnych do eksploatacji funduszy spychają nieraz uzdolnionego wynalazcę na dno nędzy, zaś owoc jego pracy, o ile nie ulega zapomnieniu, wzbogaca jakiegoś sprytnego kapitalistę. Stowarzyszenie, pragnąc przyjąć z pomocą swoim członkom, (było ich z początku 250, obecnie liczba ich przewyższyła 60 tysięcy) wydaje bezpłatne świadectwa tymczasowe na jeden rok; w przeciągu tego czasu wynalazca, mając zapewnioną wyłączność eksploatacji, może stwierdzić, czy opłaca się opatentowanie jego wyrobu. Co roku organizuje Stowarzyszenie konkurs Lépine'a, który obejmuje coraz to inne gałęzie wytwórczości. Stworzony w obronie tradycji, dla ocalenia artystycznych wyrobów warsztatowych staje się krzewicielem nowoczesnej techniki w tych dziedzinach, w których stereotypowa produkcja jest koniecznością współczesnego życia.

Od pewnego czasu wychodzi ponadto miesięcznik p. t. „Przegląd Drobnych Wynalazków“, zawierający ciekawe reprodukcje nowych inwencji, sposób ich użycia, cenę i t. p. Specjalną rubrykę poświęcono zapytaniom, uwagom i odpowiedziom czytelników, dzięki czemu można sobie zdać sprawę, czy poszukiwane przy-

rzędy istnieją i jaka jest ich wartość. W rubryce tej zagraniczne firmy zgłaszają oferty na przedstawicielstwo „drobnych wynalazków“; nawiązuje się kontakt między wynalazcami, a kupcami. Wreszcie doradca prawny redakcji udziela porad prawnych np. w sprawie uzyskania patentów.

Jak widać nawet z tego krótkiego sprawozdania, uczyniono we Francji wiele, by otoczyć opieką wynalazców, wśród których (któż nie pamięta tych wzruszających postaci z powieści Prusa, Dickens'a, Balzac'a?) tylu jest nieszkodliwych maniaków, ale tylu też pożytecznych pracowników, jeśli nie zapoznanych genjuszów...

Powróćmy do wystawy. Zajmuje ona wielką halę i rozrzucone wkrąg budki. W godzinach poobiednich, w niedziele i święta przesuwa się przez nią niezliczone tłumy zwiedzających. Na cudzoziemców rzadko można natrafić, wolą oni utarte drogi: parę „obowiązujących“ muzeów, galerij i kościołów, a potem aktualne „revues“ i kabarety Montmartre'u. Za to oficjalne sfery francuskie uważają za swój obowiązek udzielić wystawie materialnego i moralnego poparcia; to też wesoły demonstrator z dumą i werwą opowiada, jak to pani Poincaré kupiła u niego maszynkę do kawy, a p. Herriot prowadził z nim długą rozmowę przed wyjazdem do Genewy...

Tutaj poznaje się lepiej, niż obliczonych na eksport romansów fars prawdziwe oblicze tego pracowitego, wytrwałego, a pozornie lekkiego narodu. Wystarczy obserwować. Opodal młode małżeństwo z uwagą studjuje ulepszenia gospodarstwa domowego; oboje są jednakowo zainteresowani, bo niewątpliwie, jak się to praktykuje w całej drobnej, a nawet średniej burżuazji, ona sama gotuje, szyje, może też pierze i zmywa statki, a on chodzi po zakupy i pomaga w niejednej czynności. Trochę dalej siwowłose staruszki dowcipnie objaśnia skonstruowane przez siebie ruchome zabawki; obok grupki zapatrzonych dzieciaków przystało parę dorosłych i z niemniejszym skupieniem słucha objaśnień. Bo w tym kraju wolności odnoszą się poważnie do każdej pracy, każdego przejawu oryginalności. Może dlatego nie zna Francuz fałszywego wstydu, ani obawy śmieszności, uczuć, paraliżujących u nas nieraz rozwój indywidualności.

Na wystawie panuje typowy, francuski „ordre dans le désordre” (Romain Rolland). Miłe to, ale nieco utrudnia uporządkowanie wrażeń, bo eksponaty tej samej kategorii rozrzucone są nieraz po najrozmaitszych kątach. Główne działy zarysowują się jednak wyraźnie. Więc: wspaniała wystawa modeli aeroplanów, aut, różne zastosowania telegrafu bez drutu (koncert „radio”). Urządzenia biurowe. Pomysły nowoczesne w dziedzinie pedagogiki, np. nauczanie języków obcych za pomocą fonografu. Dział sztuki stosowanej. Dział kosmetyki, jak przystało na stolicę elegancji. Przeróżne kremy, pudry, płyny. Przy wejściu do jednej z budek zasiadły dwie bardzo brzydkie, niestety, siostrzyce Anny Czilag, których splety sięgają ziemi.* Zapewniają, że zawdzięczają te bujne włosy maści, zwanej „Pommade du Cloître St. Honore”. Opodal spostrzegam prospekty szkół kroju, żurnale. Sliczna jest witryna z lalkami, ubraniami według papierowych patronów, pozwalających nawet małym dziewczynkom sporządzać wszystkie części garderoby. A komentarz poucza, że można identycznie ubrać „mamusię” lalki, zwiększając odpowiednio proporcje patronu.

II.

Ale trzy czwarte wystawy zajmują instalacje domowe w najszerszym tego słowa znaczeniu. Więc „camping”—drugi dom młodzieży nowoczesnej—szałas, zawierające celowe i estetyczne utensylja kuchenne, posłania i najniezbędniejsze składane mebelki; osiągnięto minimum objętości i wagi, a maximum możliwych zastosowań jednego i tego samego przedmiotu. Młoda generacja połączyć może rozkosze życia na łonie natury z tym stopniem komfortu, ja-

kiego wymaga kulturalny człowiek. A trzeba jej bardziej niż kiedykolwiek słońca, powietrza, przestrzeni. Bo kryzys mieszkaniowy jest we Francji niemal tak groźny, jak u nas. Szereg pomysłów kombinacji stara się zaradzić ciasnocie: połączenie łóżek z szafą, komodą, kanapą; wieszaki wysuwające się i zsuwające zależnie od potrzeby. Przy okazji wspomnę o „housse idéale”, szczelnie zamykającym się futerale, zaopatrzonym wewnątrz i na zewnątrz w hak. Na wewnętrznym haku zawieszają się ubranie i zamyka „czaprak” w kształcie kaptury; prospekt zapewnia, iż jest to niezawodna ochrona przed kurzem i przed molami; jeśli tak—wynalazek jest bardzo pożyteczny.]

Podstawą urządzenia domowego jest niewątpliwie światło i opał. To też wystawa zawiera wielkie bogactwo lamp, pieców i kuchni—elektrycznych, gazowych, koksowych. Ze względu na powszechne zastosowanie gazowych kuchni we Francji zaoszczędzenie gazu jest kwestią pierwszorzędnej wagi; to też spotykamy na wystawie szereg przyrządów, wzmagających wydajność gazu; godnym uwagi wydaje się wypróbowany przez laboratorjum miejskie w Bordeaux i odznaczony dwoma medalami „Zephyr”, którego cena wynosi tylko 8 fr., podczas gdy oszczędność na gazie—20%. Ciekawym wynalazkiem jest „Antimonte-lait Rodrey”, w kształcie białego dysku, który, włożony wypukłością do góry, zapobiega wykipieniu mleka i, umożliwiając jego zupełne przegotowanie, oddaje wielkie usługi higieniczne. Ile ten prosty przyrządek zaoszczędzi czasu i trosk gospodyniom, odrywającym się co chwila od innych zajęć, bo: „a nuż mleko wykipi”. Odtąd może też gospodyni spokojnie wyjść na miasto, bez obawy o nastawiony obiad. Zastosowanie zegaru-budzika do piecyka gazowego pozwala na automatyczne przerwanie gazu po oznaczonym z góry upływie czasu; prosty, a jak doniosły wynalazek! Na wystawie znajduje się szereg pożytecznych utensyljów do przyrządzania potraw. Wreszcie spotykamy najrozmaitsze kombinacje, łączące w jedną całość tak potrzebne w kuchni narzędzia, jak: korkociąg, klucz do otwierania konserw, butelek z wodą mineralną i t. p.

Największy wybór panuje może w zakresie pralek. Zwróciły moją uwagę dwa typy maszyn do prania. Drewniana „Nec plus ultra” zawiera w środku przyrząd rotacyjny, zastępujący mozolną czynność praczki, a poruszany bądź ręcznie, bądź za pomocą motoru elektrycznego. Metalowa „La Merveilleuse”, kosztująca

wszystkiego do 140 fr. uzyskała w przeciągu roku cztery medale; szczególnie jej opis podamy oddzielnie. Do suszenia bielizny służy przyrząd, zastępujący z powodzeniem nasze archaiczne, niestetyczne sznury, uciążliwe teraz zwłaszcza, gdy wiele osób nie używa „góry” z obawy przed złodziejami. Jest on podobny do stojącego wieszaka, na pionowym postumencie rozmieszczono wokół poziome pręty rozmaitej długości, do których przymocowuje się sztuki bielizny przy pomocy prostych drewnianych szczypek; cena przyrządu 55 fr.—Do zmywania statków służy wspaniały przyrząd o własnym motorze, mogący przydać się i do innych celów. „Sacam” automatycznie zmywa i osusza statki w przeciągu krótkiego czasu. Wygórowana jego cena (około 1200—1900 fr.) utrudni może rozpowszechnienie tego aparatu w prywatnych domach, ale przedstawia on cenny nabytek dla hoteli i restauracji. Kiedyindziej omówię przyrządy do szorowania podłóg, zmiatania, mycia okien. Na zakończenie wspomnę jeszcze o nagrodzonej na zeszłorocznym konkursie złotym medalem, taniej (12 fr.) maszynce do czyszczenia i ostrzenia noży bez użycia proszku, przez proste tarcie o należycie spreparowaną powierzchnię, wzgl. przez posuwanie wzdłuż stalowej „szlifierni”, umieszczonej obok; ten sam fabrykant wyrabia maszynkę do czyszczenia dna garnków bez użycia ściereki i bez brudzenia rąk (5 fr.).—Wreszcie zdaje się zasługiwać na uwagę „Elektra”, czyszcząca za pomocą elektrolizy przedmioty z szlachetnych metali, co pozwoli uniknąć rysów na powierzchni.

Czytelniczka zapewne jest już znużona opisem tych niezliczonych, aparatów; cóż ma dopiero powiedzieć biedny sprawozdawca, a tem bardziej pani domu, która doznaje „ambarras de richesses” na widok tysiącznych, jednakowo reklamowych wyrobów. Uzyskane nagrody są jedyną wskazówką w tym labiryncie, ale jak postąpić, gdy się ma przed sobą nowy, może doskonały wynalazek? Postaram się odpowiedzieć w swoim czasie na to pytanie.

A teraz prosba do Czytelniczek i czytelników: być może, iż wiele z pośród opisanych przyrządów znaleźć można w krajowych wytwórniach; niechaj ci, którzy mogą je wskazać, podadzą możliwe dokładne informacje wraz z miejscem nabycia i cenami; wyrządzą tem prawdziwą przysługę naszemu przemysłowi i rzemiosłu. *)

F. S.



*) Gdyby nie można było dostać w Polsce tego rodzaju aparatów, Redakcja „Bluszczu” dostarczy adresów francuskich firm.

O reformę szkolnictwa żeńskiego

II.

Spójrzmy raz nareszcie trzeźwo na życie praktyczne! Wszak poza nielicznymi wyjątkami, ostatecznym przeznaczeniem ogółu kobiet jest małżeństwo i—co za tem idzie—cały szereg obowiązków, wymagających wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego, higieny, pielęgniarstwa, wychowania fizycznego, pedagogii i t.p.

Czy dotychczas zrobiono cośkolwiek, aby przynajmniej w przybliżeniu do tych zadań je przygotować? Czy w programach naszych szkół żeńskich jest choćby ślad troski o te właśnie najkonkretniejsze cele?

Do każdego zawodu—choćby najłatwiejszego—wymaga się przygotowania i kwalifikacji, tylko zawód tak trudny i odpowiedzialny, jakim jest powołanie matki i kierowniczkę domu, wolny jest od tych wymagań! Wychowujemy nasze córki tak, jakbyśmy chcieli zapomnieć o tem, co je czeka i czego życie od nich kiedyś wymagać będzie.

Toteż znalazłszy się oko w oko wobec trudnych obowiązków gospodyni i matki, przeklinają młode maturzystki wszystkie mądrości gimnazjum i uniwersytetu, a jeśli nawet nie uświadamiają sobie przyczyny swoich braków, to w każdym razie stoją wobec nich bezradne. Prowadzenie gospodarstwa szwankuje, wychowanie dzieci pozostawia wiele do życzenia, a pani domu o wyższych, ale nieokreślonych aspiracjach nie znajduje zadowolenia ani w pracy domowej, ani publicznej. Do żadnej z nich bowiem nie jest przygotowana, a do każdej czuje się poniekąd powołana. A cóż powiedzieć o tych licznych, nieszczęśliwych dziewczętach, które „przepchawszy” się przez maturę, czują się zobowiązane wstąpić na uniwersytet, choć brak im zdolności i zamiłowania, potrzebnych środków materialnych, a często nawet i zdrowia? Męczą się, niszczą zdrowie, w końcu rozczarowane i wykończone za późno spostrzegają, że złą poszły drogą.

Trzeba raz nareszcie zerwać z tem bezmyślnym posyłaniem wszystkich — bez wyboru — dziewcząt do gimnazjum! Trzeba poważnie pomyśleć o tem, aby stworzyć szkołę średnią żeńską, odpowiadającą naprawdę potrzebom życiowym większości kobiet.

Niech zabiorą głos doświadczeni pedagogowie i matki. Niech grono ludzi kompetentnych opracuje plany takiej szkoły, a nade wszystko niech znajdą się ludzie śmiałej inicjatywy, którzy w praktyce wzór takiej szkoły stworzą!

Z góry można być pewnym jej powodzenia.

Nasze Ministerstwo Oświaty, opracowując programy rozmaitych typów szkolnych, o takiej szkole zupełnie nie pomyślało. Dlaczego? Można to łatwo zrozumieć: mężczyźni dotychczas nie rozumieją dobrze roli kobiety w społeczeństwie. Nie rozumieją i nie doceniają powołania matki i kierowniczkę ogniska domowego, nie zdają sobie sprawy ani ze znaczenia i trudności tych zadań, ani z konieczności odpowiedzialnego przygotowania do nich.

Rzucono od niechcenia kobietom śmieszna, małą — w porównaniu do zapotrzebowania ilość szkół średnich z planem i organizacją identyczną, jak dla chłopców. Skutki tego są fatalne! W szkołach żeńskich panuje o wiele większe przepełnienie, niż w męskich, co razem z okropnymi budynkami szkolnymi, z niedostosowanym programem i organizacją szkolną stwarza warunki higieniczne i wychowawcze naprawdę nie do zniesienia.

Władze szkolne powinny raz zerwać ze stanowiskiem, że wszystko, co się robi dla szkolnictwa żeńskiego, jest jakimś wspaniałomyślnym ustępstwem, jakąś wielkoduszną łaską ze strony państwa. Kobiety zostały zrównane z mężczyznami w prawach i obowiązkach państwowych. Obowiązkiem państwa tedy, a zarazem jego dobrze zrozumianym interesem, jest otoczyć opieką sprawy kobiet na równi ze sprawami mężczyzn.

Potrzeba reformy szkolnictwa żeńskiego jest pilna. Opinia publiczna powinna wywrzeć nacisk w tym kierunku. Trzeba przede wszystkim opracować program i plan organizacji nowej szkoły. W tym celu i władze szkolne, i stowarzyszenia pedagogiczne powinny powołać do życia specjalne komisje, któreby się tem zajęły. W skład takiej komisji weszliby wybitni pedagogowie, rodzice i lekarze, a przede wszystkim doświadczone nauczycielki szkół średnich i lektarki szkolne.

Wspominałam już o zasadniczych postulatach tej reformy. Mówiłam o konieczności przystosowania szkoły do potrzeb życiowych większości kobiet, o należytem uwzględnieniu fizycznych i psychicznych warunków rozwoju młodzieży żeńskiej. Opracowanie tego w szczególności nie nastroczy wielkich trudności, zwłaszcza, że są już nawet pewne wzory zagraniczne. Francja, Anglia, Niemcy, Szwecja posiadają już szkoły żeńskie tego rodzaju. Można by więc z tych wzorów do pewnego stopnia skorzystać.

W tym typie szkoły trzeba przede wszystkim usunąć cały balast teoretyczny zgłębiania nauki języków i matematyki, jako niepotrzebny dla tych dziewcząt, które nie mają zamiaru poświęcić się wyższemu studjom.

Nie znaczy to, jak to niektórym pedagogom mylnie się wydaje, że należałoby usunąć z wychowania kobiet wszystko, co rozwija ścisłość myślenia. Przeciwnie, należy kłaść wielki nacisk na tę właśnie stronę rozwoju dziewcząt, przeciwstawiając ją wrodzonej skłonności do fantazji i powierzchnowości. Chodzi tu raczej o ograniczenie zakresu, a nie metody.

Nauki przyrodnicze i ćwiczenia w tym zakresie należy prowadzić w ścisłym związku z życiem praktycznym, a zwłaszcza w zastosowaniu do potrzeb gospodarstwa domowego. Poza przedmiotami ogólnie kształcącymi powinny się znaleźć w wyższych klasach takie, jak: higiena, gospodarstwo domowe, pielęgniarstwo, ogólne zasady pedagogiki, pewne minimum wiadomości z zakresu prawa i t.p.

Co się tyczy rozkładu materiału, to trzeba przede wszystkim usunąć fatalny błąd, polegający na przeciążeniu klasy 4-tej i 5-tej. Trzeba pamiętać, że między 13—15 rokiem życia, zdrowie dziewcząt wymaga szczególnych względów i ochrony, że więc w klasie 3-ciej, 4-tej i 5-tej nie wolno dziewcząt obciążać zbyt wielką, ani zbyt trudną pracą. Główny nacisk powinien więc być przeniesiony na klasy początkowe i końcowe. Poza tem należy unikać wszelkiego przeciążenia i przemęczenia, a zwłaszcza ciągłego denerwowania niepotrzebnymi egzaminami. Jestem święcie przekonana, że w wielu wypadkach matura pozostawia w organizmie dziewcząt o wiele większe spustoszenia, niż najcięższe choroby.

Jakie powinno być grono nauczycielskie?

Nie wdając się w szczegóły, należy podkreślić jeden moment szczególnie ważny: aby nie wpaść z jednego ekstremu w drugi, z grona dawniej wyłącznie męskiego w wyłącznie kobiece, na co teraz się zanoszą.

Grono nauczycielskie to, jak w każdej innej szkole, powinno być mieszane: mężczyźni i kobiety. Ale przy doborze nauczycieli należy poza innymi względami zwrócić uwagę także i na to, jaki jest stosunek danego nauczyciela do szkoły żeńskiej. Trzeba z całą bezwzględnością wykluczyć tych nauczycieli, którzy w szkole żeńskiej szukają zabawy i flirtu, a także i tych innych, którzy w zasadzie lekceważą sobie sprawę kształcenia dziewcząt, a uczą tylko dla zarobku.

Tych kilka skromnych myśli rzucam jako podstawę do dyskusji i jako zadatek dla przyszłej reformy. Nastąpi ona wtedy, gdy społeczeństwo nareszcie zrozumie, że sprawa kształcenia kobiet nie jest tylko ich prywatnym interesem, ale bardzo doniosłą kwestją publiczną.

TEATR NARODOWY

Pięć lat czekała Warszawa na otwarcie tego teatru, który ma pełne prawo do swej obecnej nazwy, powstał bowiem na gruzach Rozmaitości, spalonych w roku 1919, a te zaś w prostej linii wywodzą się od Teatru Narodowego Wojciecha Bogusławskiego.

Blisko 150 lat temu, bo w roku 1779-m otrzymała Melpomena polska swój własny gmach na placu Krasińskich. Zrazu teatr ten nie cieszył się zbytnią popularnością wśród publiczności polskiej, która za przykładem złotych półpanków wołała uczęszczać na widowiska, grywane przez francuskie, włoskie i niemieckie trupy aktorskie, od jakich roiła się wówczas nasza stolica.

Trwało to dość długo; jeszcze w epoce porozbiorowej, za czasów pierwszej okupacji pruskiej, teatr Narodowy był traktowany przez „elitę” towarzyską, jako miejsce rozrywek ludowych. Charakterystyczny epizod dał Żeromski w I-ej części „Popiołów”, opisując, jak banda złotej młodzieży warszawskiej udaje się do „teatru furmanów i lokai”, aby tam sobie głośno kpinkować z publiczności i z aktorów.

Ale wróćmy do historii. Teatr Narodowy i w początkach swego istnienia miał chwile świetności i wywierał duży wpływ na bieg zdarzeń społecznych, a nawet politycznych. Pod kierunkiem tak wszechstronnie utalentowanego człowieka, jak Bogusławski, artyści, przesiąkniętego głębokim patriotyzmem i zrozumieniem, czem powinien być teatr w dziejach kultury narodu, pierwsza scena polska zdobywa sobie mir i uznanie w społeczeństwie, a niejednokrotnie staje się widownią momentów podniosłych.

Już w pierwszych latach pracy Bogusławskiego zaznacza się wyraźnie polskość teatru. Trzeba podkreślić, że dążeniom jego sprzyjał fakt, iż właśnie w tych czasach komedjopisarstwo polskie poczyną u nas rozkwitać. W latach 1791-szych wystawia Bogusławski „Powrót posła” Niemcewicza, w rok później tegoż poety dramat historyczny „Kazimierz Wielki”, wreszcie około 1800 r. występuje Franciszek Zabłocki z komedjami, zrazu tylko spolszczonemi, jak „Zabobonnik” i „Fircyk w zalotach”, a później z arcy polskim „Sarmatyzmem”.

Wśród wymienionych utworów wielką manifestacją polityczną w przeddzień wojny z Rosją było przedstawienie „Kazimierza Wielkiego”; podczas którego Stanisław August, pogodzony z narodem, a utożsamiony w sztuce z postacią tytułową, wychyliwszy się

z łoża swej, do rozentuzjasmowanych tłumów powtarza patetycznie słowa Kazimierza Wielkiego: „Stanę na czele ludu mego i wystawię się!”

„Powrót posła” był odzwierciedleniem wzniosłego dzieła Konstytucji Majowej, szerząc jej ideje za pomocą żywych i wyrazistych postaci sztuki.

Bogusławski opuszcza placówkę, na której przetrwał lat blisko 30, oddając kierownictwo teatru Ludwikowi Osińskiemu. Ten ostatni w r. 1826-ym odstepuje teatr rządowi. Przez pewien przeciąg czasu dzieli jeszcze kierownictwo z Dmuskowskim, który jest już ostatnim dyrektorem za dni względnej swobody słowa polskiego. W roku 1829 artyści Teatru Narodowego zakładają w Tow. Dobroczyńności na Krak.-Przedm. nowy teatr, właściwie teatrzyk, nazwany Rozmaitościami. One to są ramą do jednej z najpiękniejszych wizyj Wyspiańskiego w „Nocy listopadowej”.

Po powstaniu listopadowym, przeniesione w r. 1833 do nowozbudowanego gmachu, Rozmaitości stają się jedynym teatrem dramatycznym. Nazywa „Teatr Narodowy”, drażniąc ucho moskala, znika z afiszów, ale na scenie, jak i na widowni teatru nie zanikł patriotyczny duch. Trzy pokolenia wielkich artystów grają dla trzech pokoleń Polaków, wyrosłych w niewoli. Grają utwory, starannie spreparowane przez cenzurę, która takie słowa, jak: naród, król, swoboda, tępiła nawet w sztukach cudzoziemskich. Ale co pocnie najbystrzej, sze oko cenzora, jak skontroluje, wymazawszy „niebłogonadiożne” słowa, — mimikę aktorską, jakieś niedostrzegalne prawie w twarzy drgnięcie, którym polski artysta porozumiewa się z polską publicznością — mówiąc jej: „muszę milczeć, ale wy zrozumiecie, prawda?”

Pamiętamy dobrze dzieje ostatniego dziesięciolecia w teatrze Rozmaitości. Wiemy, z jakimi trudnościami walczyć musiał, aby utrzymać chociaż cień dawnej świetności. W chwili, gdy sztuka polska mogła w nim, wraz z Polski odrodzeniem, zakwitnąć na nowo, — teatr się spalił.

Dziś została wreszcie skończona odbudowa, a widownię otwarto dla publiczności polskiej. Na czele dyrekcji artystycznej stoi Juljusz Osterwa, artysta nie tylko pełen zapału, ale i świadomości w swych poczynaniach. Przytaczam poniżej fragment jego pięknego przemówienia w dniu otwarcia Teatru:

„...nie mamy wątpliwości, co jest zadaniem i czem jest przeznaczenie

Teatru Narodowego w Polsce. Widzimy jasno cel wieczny, objawiony czterem — jakby — ewangelistom Ducha Polskiego: Mickiewiczowi, Słowackiemu, Krasińskiemu i Norwidowi.

Szczery kult sztuki, czyli wieczystej, wszechludzkiej treści — w polskiej formie scenicznej, — oto artystyczna myśl przewodnia Teatru Narodowego, związana nierozdzielnie z jego ideą społeczną. Jak w każdej dziedzinie ducha, jak w każdej komórce państwowości obowiązuje nas: pamięć o dostojnej przeszłości, podchodzącej ku nam ustawicznie drogą tradycji żywej i uświęconych zwyczajów, — obowiązuje nas czujność w obliczu współczesności, a wszelkie poczynania nasze przenika myśl o przyszłości, pod którą trudem obecnym kładziemy fundament. Organizacja Teatru Narodowego musi odpowiadać jego ideom artystyczno-społecznym. Jak wszędzie tak i w Sztuce, jedynym środkiem do urzeczywistnienia Ideału — jest praca, praca świadoma, wydajna i zorganizowana. Sztuka polska musi mieć jednak w Teatrze Narodowym całkowitą swobodę działania. Dopiero wtedy Teatr Narodowy w spokoju i z pełną odpowiedzialnością zbliży się do końca swoich zadań. Wówczas dopiero rozlegnie się Hymn Pracy przed Wielkim Ołtarzem Sztuki Ojczyściej, uświęconym wysiłkami sześciu pokoleń Narodu.

Teatr Narodowy nie będzie współzawodnikiem scen innych, stając się bowiem celem dążeń wybitnych, żarliwych i najzasłużeńszych artystów, stając się najpodatniejszą glebą dla artyzmu polskiego, — będzie wspólną ambicją wszystkich scen polskich, świecąc im przykładem w spełnianiu posłannictwa”.

* * *

Po uroczystym otwarciu Teatru Narodowego w dniu 3 października, wypełnionem szeregiem mów: prezydenta miasta, Jabłońskiego, senatora Balińskiego, min. Miklaszewskiego, Stefana Krzywoszewskiego (od Zw. autorów dramatycznych), J. Osterwy i J. Kotarbińskiego, oraz fragmentem „Wyzwolenia” — istotne jego otwarcie nastąpiło nazajutrz w dzień premjery „Mazepy”.

Była to istotnie premjera tej przepięknej tragedji, bo choć odegrano ją po raz pierwszy na scenie T. Rozmaitości w dniu 23 kwietnia 1873 roku, a następnie częstemi nawrotami uświetniała polski repertuar dramatyczny, to jednak w pełnym blasku ujrzelśmy ją dopiero dziś.

Afisz z roku 1873-go głosił, że „Mazepa” jest tragedją, napisaną przez „J. S.”, a w spisie osób nazwę „król Jan Kazimierz” zastąpiono bardziej nieokreślonym tytułem „książę...”. Do takich ostrożności dochodziła podówczas cenzura rosyjska; tem goręcej należy podkreślić fakt, że właśnie wystawieniem Mazepy rozpoczął Teatr urzeczywistnienie swojej Idei artystyczno-narodowej.

Szczupłość miejsca nie pozwala mi na drobiazgowo rozpytywanie szczegółów. Niechże tym razem krytykę teatralną zastąpi słowa głębokiego uznania i podzięk za widowisko, które pod każdym względem nie miało dotąd równego sobie.

Wielki duch genialnego poety, pomysłowość artysty — dekoratora, tacy mistrze żywego słowa, jak Frenkiel, Kamiński, Osterwa, Węgrzyn i inni, oraz do maximum doprowadzona staranność reżyserji, — oto co

się złożyło na imponującą całość przedstawienia.

Nie dziw więc, że publiczność, wypełniająca teatr do ostatniego miejsca, z uroczystem skupieniem podziwiała przez cały wieczór mistrzowską grę swych ulubionych aktorów, na zakończenie dopiero darząc ich prawdziwą burzą oklasków.



Nastrój całej sali przypominał potrosze cudowną chwilę, którą każdy z nas kiedyś przeżywał w dzieciństwie: wieczór, wieczór wigilijny... W domu atmosfera świąteczna. Serduszka dzieci biją mocno... To święto — to ich święto, te drzwi — dla nich się otworzą za chwilę. Dla nich zapłoną światła na drzewku, przed ich zachwyconemi oczyma zadrgają barwami tęczy wszystkie podarki...

Tak, w owej chwili uroczystej, 4-go października, zrozumiały dobrze wszystkie serca polskie, że dla nich — to otwarto ów piękny gmach, że ku ich zachwyceniu, radości i dumie złożyli artyści i rzemieślnicy polscy najcenniejsze podarki, na jakie kogo było stać: talent i pracę.

Zrozumiała to Warszawa i dlatego już kocha swój Teatr Narodowy.

W. J

MIASTA I KOBIETY

(WRAŻENIA)

III.

Zbiegłam szybko po krętych schodach naszego „Grand Hotel'u” i na tle uliczki, podobnej do kamiennego korytarza, ujrzałam M-me Grattin. Pan Grattin, łaskawy nasz impresarjo na bretońskim brzegu, machał kapeluszem i — z nadmiaru uczucia — drepotał na miejscu, jak kogut. Nastąpiły prezentacje. Marsylczyk szastał się i wlewał spienione potoki frazesów. Owinięta w białą flanelę, lamowaną czerwonym wężykiem — Madame podniosła ku mnie twarz z tą samą solennością, z jaką ksiądz dźwiga monstrancję przed oczy wiernych. Recytowałam sumiennie komplement powitalny. Z ust pani — sfrunęły słowa gładkie z lekkością i nadmiernym wdziękiem kolibra. Czarne, wielkie tęczówki — w pierwszej chwili zaczajone, jak dwie łasice — teraz przyłgnęły do mnie miłośnicie, z efektacją... „Jakież są wrażenia pani z tej nadmorskiej dziurki? Co za lekkomyślność ze strony mego męża, że naraził cudzoziemców na pobyt wśród takiego odłudzia! Dla mnie za to przyjazd państwa jest prawdziwą rozkoszą...”

Zdania puste, jak muszelki brzęczały przymilnie. Snując nieprzerwany wątek rozmowy, M-me Grattin niosła obok mnie po żwirowanym chodniku osobę swoją z pieczołowitością i talentem. Stopki obute w białe sandały ze świadomością czujnych zwierzątek sunęły wśród kamieni, a cieliste pończochy przeżyły się w słońcu, niby łodygi wędrujących kwiatów. Za nami panowie wiedli dyskusję ekonomiczną. Nuda — gęsta i nieprzenikniona, niczem

guma arabska — ogarniała mnie po czubek głowy. Składnie przeplatał się damski dwugłos: pytanie i odpowiedź; twierdzenie i komentarz. I znowu: „Et chez vous, Madame?” — „O, u nas...” Wargi poruszały się tym samym rytmem, co przy chrupaniu ciastka, a mózg pracował z irytacją i mozołem, jak cygan, postawiony przy warsztacie garncarza. Dawno zagubiony nastrój spacerów z „Mademoiselle” wypływał z za węgla przeszłości i pełnemi żaglami parł w szafranowe uliczki.

M-me Grattin — mówiąc — składała usta w trąbkę i żądełko słów zapuszczała we mnie, jak sondę: treść zdań była nijaka, myśli drobne, jak grosze, ale w ślad za każdym słowem szły oczy, szperające nakształt macków i badały teren. Ani wiedziałam, kiedy — zakres wiadomości pani Grattin o moich sprawach rozszerzał się stale, niby kąt rozwarty — podczas gdy moja indagacja krążyła nieporadnie w koło punktu wyjścia. W pewnym momencie spostrzegłam z uczuciem złości, że francuska dama spaceruje już rezolutnie po najintymniejszych zakamarkach mojego życia.

Na szczęście morze podpełzło właśnie pod stopy i spienioną paszczą usiłowało chwycić za nogi. Swawolne, prostoduszne i zadyszane, jak szczeniak droczyło się ze skałami, które miały pozór najeżonych kotek. Głupie falki pluły na kamień z satysfakcją, siekły go wiechciami alg i bombardowały ulewą muszelek — a granity — zebrane w sobie, gniewne i bezpieczne — trwały w pogardzie. Najposępniejszy z neurasteników nie wysle-

dziłby w tej chwili na ziemi, niebie i w przepaściach własnej duszy nic, coby trąciło choć z lekka „potęgą żywiołów”. Pustota i swarliwość. Błękit i szafran. Dzieci, płasy niezgrabne, jak flirt maturzysty, śmieszne rybki z rogiem na nosie, pstry kobierzec z muszli, śmiech wodników i kryształowe powietrze. Nie zdołałam zapłonać gniewem na przeszpiegi Madame Grattin.

Usiadłyśmy w pięknie toczonyj niszy skalnej i pierwszy raz spojrzaliśmy na siebie życzliwie. Czarnowłosej pani do twarzy było z oceanem. Panowie — ni to chłopaczki naiwne — zakasawszy spodeńków, tkwili po kolana w wodzie i wypatrywali dziwów na dnie, które było wprawdzie morskie, ale za to niezmiernie płytkie. Tymczasem na ścieżce, biegnącej w podskokach od strony osiedla, wyperliły się kolorowe punkciki.

„A otóż i dzieci” — stwierdziła pani. Gromadka zbliżała się w rozpęce i w chwilę później zaroilo się w naszym kącie od młodych Grattinów. Było ich pięcioro. Ten fakt oszałamiający został mi zakomunikowany już dawno. Ale teraz dopiero uwierzyłam. Pięcioro Francuzi! jednej matki i jednego ojca — dzieci oczywiste, niewątpliwe, ładnie rozrośnięte, długorzęse, szelmowskie i zdrowe. Madame wymieniła ich imiona i — w drodze krótkiej — odprawiła. Pierwsza wielkimi susami odbiegła ku ojcu sarniooka Yvonne, za nią — szurając trepkami — pociągnęła André, odęta niechętnie; dwoje najmłodszych — siedmioletnie bliźniaki — chłopczyk i dziewczyna — smyknęli w bok i, ledwie przy-

siadłszy na piasku, zaczęli się bawić namiętnie, od środka, gadając z przekonaniem, trzęsąc w zapale jedwabnymi włoskami — zapatrzeni w siebie, głusi dla świata, zapracowani i ruchliwi, jak dwie papugi cacadou. Ostatnia odpłynęła tanecznym ruchem Claire — panna szesnastoletnia o rysach Medyceuszki i mięśniach baletnicy. Spojrzałam na matkę: czekała podziwu. Zaczęłam więc pisać nad'urodą i dzielnością pięciórki. Przytakiwała zdawkowo: „Oui, oui, ils sont beaux; plutôt beaux...” Ale w oczach nie widziałam tej ciepłej mgły, jaka w Polsce zasnuwa wzrok matek, kiedy mówią o swoich synach i córkach. Wyraziłam przekonanie, że przyjemnie jest mieć koło siebie wieniec takich dobrze udanych, własnych stworzeń.

„Be, oui — ça a du bon. Mais ils sont beaucoup; ne trouvez — vous pas?” — odezwała się rana wiecznie żywa. „To ojciec — przez patryjotyzm... Zadał tego, albo rozwód...”

Na twarz brunetki — z pod zorzy sztucznego rumieńca — wypłynęła łuna irytacji. „Boże, jak ciężkie jest życie kobiety!” Potok zwierzeń już wzbierał podskórnie; poprawiłam suknię i gotowa byłam słuchać. Nagle poczułam na kolanie dotknięcie małej ręki: Jeanine — opalona bliźniaczka — szczyrzyła do mnie zębki, raportując o jakimś wielkim wynalazku swego brata. Dywersja była nie na czasie.

Wobec tych oczu świeżych, jak kwietniowe liście, słowa, które miały popłynąć, wydały mi się deszczem sadzy. Odczułam siostrzanem sercem niepokój M-me Grattin, czy w mózgu jej dziecka nie utkwiał już cień „nieznanego”. Z dna pamięci wstał obraz dziś jeszcze bolesny: ruda smuga wzdłuż przymkniętych drzwi, podzwanianie łyżeczek w sąsiednim pokoju, zapach herbaty i smażonych jajek, ja — zbiegana — w łóżeczku, oplecionem ciemnością — i tam z za drzwi dolatujące słowa. Słowa, jak wykrzywione maski, co straszą z za węgla... Przeskakiwały rudą wstążkę światła i rzucały się kocim susem na piersi. Twarz stawała w ogniu, serce robiło się maleńkie, niby ła i wbiegało do gardła. Splatałam myśli w bicz i zaciskałam powieki aż do bólu, żeby sen zmusić siłą do zabicia „nieznanego”. A słowa nadbiegały ciągle na kusych nóżkach i wszystkie wwierały się w mózg, jak żuki...

Błyskawica wspomnień rzuciła teraz swój blask na twarzyczkę małej Francuzki, ciekawie wpatrzonej w usta matki. Więc chwyciłam w obie dłonie hebanową główkę i szepnęłam czarulce na ucho polecenie arcyważne do papy; osoba natychmiast śmignęła w powietrzu gołymi nogami... i znikła z placu.

Madame uśmiechnęła się z wdzięcznością: „Jak dokrze, że pani wyprawiła tego głuptasa. Nigdy dość ostrożności wobec malców. Wywieszają

uszy a potem paplą przed ojcem, co nie potrzeba. Stąd wieczne komeraże. Tak...

Kiedyś ocean był bez humoru: melancholijny i cierpki. Słońce nie zostało dopuszczone na próg nawet morskiego państwa; chmury nadęte, jak żołnierze w kaskach, stały na rubieży nieba i wody, trzymając na smyczy wiatry, gotowe do skoku. Łada mruknięcie wełnistego króla nieciło gorliwość zastępów obłocznych, że parły przed się ku słońcu, najeżone błyskawicami, a wiatry ze skowytom gnały im po piętach, harcując niesforne w ciepłych przestrzeniach. Nudna szarość wisiała nad falami. Zaś w przerwach między gonitwą chmur cisza stąpała po grzbietach trytonów aksamitnie, niby bezpański pies. Źródła podniebne tak były napełnione deszczem, jak oczy sarnie łzami. Brakowało tylko szlochu jednego żałości, by zmaciły się lustra źródeł owych i... dżdże spadłyby na piasek, płaczowi dziewczyn podobne.

Ani to do domu iść, ani z morzem się bawić. Kraby uciekły w najciaśniejsze szczeliny, w wodzie burej krewetki stały się niewidoczne, fale prawyły szeptem jakieś złośliwości, że chęć do kąpieli odbiegała człowieka; wybrzeże było puste i markotne. Ale w „Grand Hotel'u” apartament nasz składał się z facjatki nieodwołalnie jedynej, bez innego wylotu, jak okienko, zawieszone nad podwórzem, pełnem suszonych ryb i suszonej bielizny. Książki dawno zostały przeczytane. Więc wysilałam dowcip na interesujące rozmowy, żeby panią Grattin przetrzymać na plaży jeszcze choć godzinę. Po szczegółowej debacie nad moralnością „Garçonne'y”, wysłuchawszy dowcipnej i bardzo miśsternej opowieści o życiu oficerskiego kółka w Algierze — puściłam się na mętne wody plotek. Konwersacja zesłała na dzieje pewnej Polki, która kilka lat temu wyszła za francuskiego bankiera. Zdarzyło się, że pani ta przetańczyła niedawno z młodzieńcem dwa sztywne foxtrott'y w dancingu, gdzie całe zastępy innych żon innym poślubionych bankierom tańczyło też same foxtrott'y z innymi młodzieńcami. I fakt ten zgoła pospolity rozpętał taką burzę w sercu małżonka pięknej Polki, że noc podancingowa zmieniła się w domu mieszanej pary w istny szal demonów. Francuz pozazdrościł laurów kochankom z „Grand Guignol'u”: wił się na łożu, gęsto uderzając głową o mur dla tem sroższego potępienia nieszczęsnej, złorzeczył ludzkości, a zwłaszcza Polsce, hodującej niewieście potwory, sięgał po rewolwer i płakał, jak kilka bobrów.

Otóż zdarzyło się również, że mąż w mowie będący — oprócz żony młodziutkiej — miał córkę starszą, o której zwykł był — między swemi —

mawiać nie bez pychy ojcowskiej: „Elle a une belle situation: zarabia koło 10-ciu tysięcy franków miesięcznie”. A zarobki były tajemnicze, a pośrednikiem w zarobkach był legalny pan i władca pracowitej damy...

Dykteryjka zasmuciła mocno panią Grattin. Tem bardziej, że przed chwilą dowiodła mi jak na dłoni defetystycznych tendencji Victora Margueritte'a w karykaturowaniu francuskiego życia. Jej oburzenie przemówiło do mnie językiem duszy. Patrząc we wspaniałe oczy, djamentowe od gniewu, widziałam w nich obrażone serce człowieka.

Zrobiło mi się przykro, że — opowiadając rzecz w sposób kostyczny — uraziłam ambicję narodową Francuzki. Więc czempredzej w powodzi ogólników, zastrzeżeń i najróżowszych nadziei starałam się utopić złe wrażenie: „Życie jest plastyką nie zawsze rytmiczną. Przytem utalentowany bankier cierpi najwyrzej na histerję czy inną wadę... A zresztą powojenne męty opadają coraz głębiej na dno wrażliwości ludzkich i bliski czyni się dzień, kiedy we Francji wszyscy mężczyźni — uleczeni z psychozy — spojrzą na żony, jak na dzielnych towarzyszy, a na córki, jak na wróżki ziszczonego marzenia”.

Madame słuchała uprzejmie, a purpurowe wargi układały się w uśmiech coraz serdeczniejszy. Cała spalpitowana od dobrych chęci urwałam, by nabrać tchu. Wtedy pani Grattin przyciągnęła mnie do siebie tak, jak reżyser przyciąga za kulisy nietakowanego aktora w komedji dell'arte. „Droga moja, mała przyjaciółko — rzekły karminowe usta. — Byłoby niedorzecznością chcieć rytm wprowadzić do życia. Jakież wtedy byłby smak muzyki? Twój bankier wcale nie cierpi na wadę — tak właśnie wygląda normalny mąż. Co do psychozy... Mieszka ona w norach kokainistów i w kapliczkach medjumizmu. Zazdrość o żonę i pasożytowanie na ambrożyjskim cielem miłości — to zjawiska znane nie tylko przed wojną, ale i przed Chrystusem. Po co się gniewać i po co zmiany? Czy zmienisz kolor krwi? Tak samo czerwona była ofiara na ołtarzach Jehowy, jak czerwone pola nad Marną. A w historii z dancin-giem winna młoda pani. Wszak mąż jej tam z nią nie poszedł. I nie widział. Dlaczegoż opowiedziała mu swoje sukcesy?! C'est bête! c'est archibête!! Zapamiętaj przyjaciółko zasadę:

Qui trop confie

Plutôt pleure que rie.

Madame Grattin patrzyła na mnie surowo. Wydało mi się, że widzę rewolucyjną Marjanę — starszą, okrutną siostrę pani de Pompadour — jak w obliczu gilotyny przekłwa szpilką kanarka Markizy.

Marja Kuncewiczowa.

SPROSTOWANIE.

W części II-iej „Wrażeń” w wierszu 12 od góry drugiej kolumny, winno być „Chwile są” a nie „chwila są”.

MARJA DĄBROWSKA

JARZĘBINOWA ZIEMIA

I.

RADŁÓW NAD MORZEM.

Już minęło lato. Lecz na samym końcu gorącej pory przez kilka tygodni szumiące, perliste Pomorze obejmowało nas mokremi ramionami wody, spowijało nas w swe pyszne, nieskończone powietrze, tańczyło z nami swój taniec ciągłego wiatru, snuło nam przed oczami w głębokich jasnościach nieba dziki korowód chmur, podżegało nas ogniem słońca.

Tym razem byliśmy na szczerej wsi, tym razem byliśmy w Radłowie.

Mały folwark państwowy, na szczycie wzgórza sterczący gospodarskimi budynkami — jest Radłów czemś, co trzema krętymi parowami, jak trzema pasmami złota i zieleni spływa ku morzu — i czemś, co drogami, pełnymi jarzębiny schodzi ku dolinie, którą kołacząc się i dudniąc nadmorskie pociągi.

Drogami pełnymi jarzębiny!

Ten kraj tak szalenie złoty od żarnowca w czerwcu, — ten kraj gdzie lipy naprawdę w lipcu kwitną — w sierpniu witał nas nadmiarem, tumultem — jarzębiny.

Jak w powieści Selmy Lagerlöf stoi, chodzi i rośnie tu wszędzie.

Nie zauważyliśmy jej wcale, gdyśmy tu bywali w czasie żarnowca i lipy, — Nie widzieliśmy jej na wiosnę, gdy według słów wielkiej, spóźnionej romantyczki północy stoi w kwieciu „jak panna młoda”.

Lecz teraz ku jesieni zastąpiła nam drogę ze wszystkich stron i ze wszystkich stron. Wkręca się między olbrzymie lipy, rozstacza swe czerwone wdzięki przy każdej ścieżce, kroczy rzędami wzdłuż drogi, schyla się nad zbożem, zdobi skraj lasu i wygląda urwistym cyplem na syczące zielenie morza. W niebiosach burzliwych i łagodnych, bławych, szarych i modrych ciemnieją fryzy jej gron i jej liści. Jedne liście są anemiczne, prawie żółte — tamte seledynowe, a tamte srebrno-szare — a inne ciemno zielone i jaskrawe, niektóre aż prawie fioletowe.

I to samo z owocami. Jedne gronka są wątle i rozczapierzone, blade jak niedokrweste dziaśła, a tamte są jak piękny owoc cisu karmazynowe z nalotem lila — a te znów mają

grona zwężłe i ciemnopasowe — nalaćne dobrze swą owocową krwią — a te mają szkarłat jeszcze ciemniejszy, prawie tragiczny pod cieniem liści.

I tyle ich wszędzie i tak pałają, i tak trudno od nich oczy oderwać.

Mieszkaliśmy w dworku „na górce”. Jarzębina zjawiała się tam także i stała przy samym oknie, płonąc tysiącem swych purpurowych ust, podczas kiedy poza nią w jabłoniach i modrzewiach od samego świtania klaskała i cmokała dzika wiewióreczka, całując tym dźwiękiem cieniste, zielone przestrzenie.

Więc gdy nas obudziła, szliśmy zaraz nad morze. — Po drodze szarpaliśmy się w zaczepnych krzakach dzikiej maliny i w pnączach jeżyn. Ostrożnie wsuwaliśmy dłoń w kołące skręty, gdzie w samej głębi, w śniadym, wonnym cieniu schnących liści świeciły jak zrobione z czarnych paciorków jagody pełne cierpkich ziarenek i ciepłej słodyczy soku, pachnącego igliwem. Niebo spryskiwało zieleni szafirowymi centkami, a zieleń ociekała blaskiem i cieniem tak soczystym! Wąziuchną ścieżyneczką, pędzącą na łeb i na szyję w dół, pomykała co żywo mała żmija, podobna mosiężnej lince.

Sosny już trochę napite odległym wiatrem z morza chwiały się nieco, wydając szumne, krótkie dmuchnięcia, takie podobne do westchnień.

Minawszy parowy pełne pokus malinowych i innych, zażywaliśmy przez długie godziny prostej przyjemności leżenia w słońcu i na piasku. Wałęsaliśmy się, szukając coraz to lepszych miejsc.

Najprzyjemniej było, za zrębem djuny, na trawie tak spieczonej, że prawie pachnącej jak siano. — Na samym skraju bukowego lasu, który w tę stronę szumi swoimi liśćmi, a w tamtą stronę co mgnienie, bez

wytchnienia powtarza w swych głębiach pomruk fal.

Wszystkiego nam było za dużo choć mieliśmy tylko wątle trykoty kąpielowe na sobie. Lecz myśmy chcieli przywdziewać na siebie słońce, wiatr i wodę. Więc do kąpiel! do kąpiel! do kąpiel! Hasło płynie od jednych do drugich i zrywamy się jak dzicy ludzie i z takim samym wrzaskiem. Drętwiejemy na chwilę, gdy zimna krawędź fali podbija nam się pod piersi, pod pachy, pod brodę. Ociskamy zęby i rozstraskujemy ją w około siebie. Chwytny się za ręce zataczamy się i skaczemy — a teraz kto nie umie, ten uczy się pływać.

Najpierw na czyichś rękach — potem samopas rzucanie się do wody — Ah! jacy jesteśmy wtedy źli, jak parskamy, jak wypijamy zatokę — jak nalewamy jej sobie do nosa i do uszu. — Zwinny, ciekły, podstępny nieprzyjaciół nie da się tak prędko opanować. — Ale nie trzeba się go bać — trzeba się rzucić na niego prosto. Lecz gdy się już można utrzymać jako tako „po psiemu” to znów nie umie się oddychać, płynąć. Więc dalej jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze raz zaciekle, radośnie, co siły.

A wśród tych ćwiczeń, wśród takiego samego codziennego śmiechu, wśród wzajemnej żartobliwej, dobroci — i serdeczności doświadcza się coraz mocniej tego uczucia, że życie fizyczne jest tak niezmiernie, tak bardzo dla człowieka przeznaczzone, tak mu właściwe, tak wrodzone. — Jak to dobrze, jak to dobrze, że mu się teraz poświęca tyle czasu.

Jak nieszczęśliwe było nasze pokolenie młodzieży, które w Tatrach chodziło z przewodnikiem i kontemplanowało tylko przyrodę, podczas kiedy dzisiejsze na każdym kroku i w każdej godzinie wchodzi w tak zażyły z nią kontakt, splata się z nią w jedno.

Jak ślicznie odwraca się naopak polskie przysłowie, że lepiej jest stać niż chodzić, siedzieć niż stać i leżeć niż siedzieć. — Dziś każdy wie, że wszystko to jest na odwrót, że najlepiej jest chodzić, a jeszcze lepiej niż chodzić jest biegać, jest pływać, jest skakać — a jeszcze lepiej jest latać.

Życie staje się sto razy bogatsze przez różnorodne sensacje, jakie dają sporty i ćwiczenia fizyczne, a galopująca młodzież wciąga za sobą powoli ludzi, którzy już chcieli zastygnąć w bezruchu swych trzydziestu i czterdziestu lat.



Coraz częściej odrzuca się взгляд na nadciągające lata, i ci, co chcieli się już zacząć starzeć, odzyskują nagle utraconą połowę życia. I to jest dobrze i to jest bardzo dobrze — Niech pod wpływem wielkich marszów, pływania, rakiety, wiosła, piłki — spalają się w nas złoża artretyczne, które trzaskają nam w przegubach, jeszcze zanim zmarszczki ukazały się na twarzy. Niech znikną zawroty i bóle głowy, nerwowe ziewania, senność i bezsenność, bicie serca i te wszystkie dolegliwości, które nie są żadną chorobą, a tylko gniewnym protestem rozmiękłego organizmu, pozbawionego koniecznej sumy wielkich radości, płynących z ruchu na świeżym powietrzu.

A oto wśród tak buńczucznego nastroju przychodzi popołudnie i przychodzi wieczór i spłaca się konieczną dań uczuciom romantycznym.

Więc wraca się z „muzyczki” w Kamiennej Górze w pełnię księżyca.

Fala wzdłuż całego brzegu spryskana złotym blaskiem łamie się, dzwoni i huczy, jak tylko potrafi huczeć morze w ostatecznej ciszy wieczoru.

Gładka polanka, po której na blaskach trawy błędzą nasze cienie, obszyta jest czarnym lasem, gdzie jak zawsze wzdycha echo morskiego szumu. Podobno to jest dolina Śmętka. Tak o każdej tu mówią.

Lecz tego jeszcze nam nie dosyć.

Idziemy za podwórze drogą wśród wielkich białych maków, tak daleko, aż wystrzeli przed nami na lewo złoty, poziomy obelisk blasku księżycowego — na wodach dalekich, a na prawo ukaże się czarodziejski widok Gdańska i Sopotu z ich pianą światła, wytryskujących wprost z sinego odmętu wód.

A gdy wracamy w końcu, to po prawej stronie mamy mętną nocną jasność morza z niestrudzonym skokiem latarni na Oksywiu. Zaś po lewej kłębi się ciemność dolinki Małego Kacka, której dnem biegnie szosa. Raz po raz przemyka tamtędy baczny i cichy strumień reflektora i o wiele później słyhać nadciągające chrapanie samochodu — Lecz gdy miną te światła i ucichnie głos syreny — to na dnie dolinki trwa zawsze i bez końca jedno, maleńkie światełeczko — Nie wiem, komu przyświeca, leżąc tam w ciemności, jak spadnięta gwiazda.

Przed Redłowskiemi czworakami robotnicy grają na harmonji tak, jak pewno wszędzie na świecie o tej porze swój jednostajny, motyw spoczynku — a pięć okien sali pensjonatu wyrzuca z świetlistej głębi piosenkę.

Titino, ach Titino
rozkoszna ty dziewczyno,
poczekaj odrobinę...

(c. d. n.).

KONIK POLNY

*W murach miasta zamknięta, gdy na mym balkonie,
Gdzie kwiatków kilka w pyłe miejskim suszę, —
W skrawku słońca zbłąkanym grzałam chłodne dłonie
I zziębniętą duszę —
Nagle mi konik polny skoczył na kolana,
Jakby go tam złożyła dłoń słońca świetlana.*

*Skądże ty tutaj, u mnie, śpiewaku wioskowy,
Skąd ty, maleńki przychodzisz — tancerzu?
Jakiż wicher cię przygnał z łąki lub dąbrowy?
W szarej kępcie perzu,
Lub w snopie zboża wonnym, lub w gęstwie warzywa,
Widzę, jak twój kształt wiotki do miasta przybywa*

*Na kmiecym wozie z rosą.., w jesienny poranek..
A tam, gdyś zniknął w gościńca kurzawie —
Tam, wiem, w twoim zakątku wśród ziół, macierzanek,
W twej rodzinnej trawie:
Piosnka wietrzyka zwykle swawolna i płocha —
Raz pierwszy dnia onego w bujnych trawach szłocha...*

*Niema Ciebie: Liść, który wczoraj Ci był schronem—
Dziś chrząszcz zielony objął w posiadanie..
Lecz słońce, jak i dawniej, lśni nad nieboskłonem!
I kłosa na łanie
Złocąc, w ziarna pachnące słodki rozczyń sączy
I płynie w dal, a nigdy swej drogi nie kończy...*

*Niema Ciebie. Wzdłuż łąnu te same brzóz drzewa, — —
Ta sama ścieżka brzegiem łąnu bieży — —
Szczaw, cykorja, ślaz dziki wzdłuż ścieżki dojrzewa..
Cień traw na niej leży —
Czasem padną, szeleszcząc dojrzalsze nasiona,
Lub przebiegnie z ciężarem mrówka pstroczerwona.*

*Niema Ciebie. Gdy słońce zachodem się rdzawi,
Wonnym oparem nasiąka powietrze,
I szmaragdowa łąka rosą się zalzawi.
A od chmurek bledsze
W cichy taniec — mgły polne, leśne i łąkowe
Splotą się, zakołyszą, kąpiąc w zorzy głowę —*

*O wtedy, gdybym mogła kształt mój ludzki rzucić,
I z duszy zerwać pęta, więzy, stroje,
Chciałabym na te pola biec i piosnkę nucić,
I w mgieł wsiąkać zwoje,
Płasać z wiatrem, pić rosę, zaglądać w ziół pąki
I śmiać się, śmiać się, śmiać, jak leśne dzwonki...*

*Taką to w duszy iskrę dzięk mam, przyziemną,
Co mnie dziś z tobą, skoczku polny, brata..
Z gleby tej naszej polnej wykwitłeś wraz ze mną:
Czemuż dziś nie wzłota
Kształt twój drobny nad miętę, jaskry i lilje,
Lecz tu ze mną raz pierwszy smutek życia pije?...*

*I me oczy, mrużące się myślą płochliwą,
Ocz twoich spotkawszy bezradność żalostną,
Wpatrują się w ich lśniące tajem światłem szkliwo:
Między nami rosła
Nici jakieś tajemne — dawne — skądś wysnute —
Dziś, gdy mój i twój smutek na jedną łka nutę.*

WACŁAWA GRODZICKA CZECHOWSKA

SAMOTNY PAN

Widuję na obiadach pana w okularach, o słabym bardzo wzroku. Siedzi opodal. Ma charakterystyczny ruch zaplatania rąk nad głową. Gest ten u ludzi bywa niekiedy gestem rozpacz, — u niego zjawia się w chwili szczytowego zainteresowania rozmową; jest odruchem żywości, pohamowanej przez życie, echem opanowanego temperamentu. Jednak gest ten dziwnie ku panu pociąga wzrok: mówi on wiele o nerwowości pana, o próbie pokazania subtelnej wzgardy dla świata, o pewnym znużeniu i nienasyconiu — o porachunkach z życiem, które wypadły na niekorzyść pana. — Gest ten jest ruchem ludzi wytwornych i inteligentnych. O wytworności świadczą delikatne i białe ręce pana; o inteligencji to, co mówi.

Jest wykształcony. Obraca się dość swobodnie w rozmaitych dziedzinach wiedzy: literatura, historia, nawet nauki przyrodnicze. Lubi mówić, jak człowiek po długiej samotności rozmowy spragniony. Z młodemi towarzyszami stołu sam wszczynają rozmowę; mówi łatwo, zajmująco, z lekka ironizując. Niekiedy śmieje się i wówczas zarzuca ręce za głowę; — zarzuca je również i wyprostowuje się cały w chwili odczuwania swej wyższości, swego jestestwa i odrębności.

Pan jest dumny i pełen godności, pomimo pozorów zaniedbania i opuszczenia.

Pan jest człowiekiem zupełnie samotnym. Długie zimowe miesiące płyną bez wrażeń, jak lata, w małym miasteczku.

Dlaczego zamieszkał tu właśnie? Jest względnie niezależny materialnie, jako emerytowany urzędnik, mógłby wybrać miasto ludne.

Pan posiada tajemnicę swego miłego, kochającego i zasmuczonego serca. Pan bowiem jest bardzo smutny i stoi już po tej drugiej stronie życia, która jest dożywaniem, czerpaniem ze wspomnień, nawiązywaniem do tego, co było. Pan już nie tworzy, lecz patrzy we wczoraj i w to, co mogło być, lecz nie stało się nigdy.

Czemu? — Pan był zamożnym, zdolnym młodzieńcem, synem znanego rodu. Ożenił się młodo. Żona umarła prędko, zostawiając mu córkę. Wkrótce ożenił się powtórnie, „przez swaty”. Nieśmiałość, nieumiejętność wybierania, niedołęstwo czynu sprawiły, że pojął tę żonę wyswaną, zresztą pannę z „dobrego” do-

mu. Szczęście, tą drogą otrzymaną, okazało się wątpliwem. Panna z dużego miasta, potrzebująca „oprawy”, życia hucznego, zabaw, — jak motyl wielobarwny wymknęła mu się z rąk, zabierając córkę, którą go obdarzyła. Jako osoba praktyczna, rozsądna i dzielna, zmusiła męża do płacenia alimentów i odleciała w świat.

Pan zaczął prowadzić życie urzędnika galicyjskiego, postępując w stopniach służbowych, wysyłając bylej żonie alimenty, cierpiąc skrycie na samotność.

W owym okresie czytał wiele, gromadził bibliotekę i obrazy. Nie miał drapieżnego pazura, którym wrywa się życiu skarby. Chętniej dawał, niż brał. Toteż ludzie „nabierali” go łatwo.

Pierwszą córkę umieścił u swej matki. Był sam. Jadał w kasyynie.

Wówczas to uczepliła się go kelnerka, instynktem drapieżnika wyczuwająca w nim naturę hojną, a słabą. Po roku miał córkę. I odtąd stał się łupem kobiety, wyzyskującej i silnej.

Towarzyszyła mu wszędzie z dala, wyludzając „dla dziecka” pieniądze, meble, podarunki. Brała je dla siebie. Pan dziecko pokochał gorąco. Była tak miłutka, tak piękna, tak bardzo zdolna i kochająca.

Pan nie wyparł się swego „nieślubnego” ojcostwa; przeciwnie, nosił je śmiało i dumnie, podróżując z dzieckiem i emigrując z niem w czasie wojny. Potem umieścił córkę w doskonałej szkole, odwiedzał ją i coraz mocniej kochał. Istniało jak gdyby przymierze pomiędzy temi dwiema istotami, pokrewnymi, rozumiejącymi się i podobnymi do siebie miękkością i delikatnością uczuć. Ich samotności nasycali się wzajem

i krzepili. Ich samotności wobec tej trzeciej, siły drapieżnej, brutalnej, ziemskiej, wężącej interes, czyniącej z dziecka przedmiot szantażu i dążącej do wymuszenia na panu ślubu ze sobą.

Kobieta o ciężkiej ręce i brutalnym głosie zapanowała nad nim, aczkolwiek cała jego psychika inteligentna starała się uniknąć z nią kontaktu. Ona szła za nim i pojawiała się z chciwie wyciągniętymi po łup rękami. Dawał. Dawał tej, — posyłał tamtej, drugiej żonie.

Dziecko kochał i spędzał z niem słoneczne miesiące w miasteczku wśród gór.

Lecz kiedyś, gdy dziewczynka miała czternaście lat, stało się nieszczęście. Poszła do lasu po grzyby; przyniosła ich koszyk i prosiła matkę o ugotowanie. Pan zwrócił uwagę na niepewny wygląd grzybów i zalecał ostrożność. Matka dziewczynki przyrzadziła jednakże potrawę i nakarmiła nią małą przed snem. Dziecko zachorowało ciężko i krótko; nazajutrz rano już nie żyło.

Pan został sam.

Hanna, tak ją nazwijmy, wycisnęła z niego możliwie najwięcej pieniędzy, rzeczy, sprzętów — i odeszła.

Powoli rozprzegło się wszystko, co było materialną doczesnością.

Dom, należący do pana, zagrożony ruiną, został sprzedany; meble, dywany — przeszły do ludzi, srebra dostały się dorosłym, już zamężnym córkom, mającym własne, pełne, dalekie życie.

Pan został sam. Skończył okres przepisowej służby, dostał pensję, stał się wolnym człowiekiem. Wolnym... dla wspomnień przeszłości, dla przeżywania tego, co było i tego, co mogło by być.

Ma w sobie zapasy wiadomości, — dobrą pamięć nauki, zdobytej w uniwersytecie i z przeczytanych dzieł; ma pewną gorzką wiedzę życia, nabytą na tej drodze ustępstw i zgody, która była jego drogą, drogą najslabszego oporu jego nieznoszącej walki duszy; ma smutek jesieni, bliskiej zimowych dni — i „zmarnowane”, — jak mówią, — życie.

Siedzi w małym miasteczku dla wspomnień.

.N Samotyhowa



20)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

Wanda zastanowiła się.

— Czy ostatecznie skorzystaliście z... oferty tej panienki?

— Nie! Słowo honoru wam daję. Zmiarkowałem, że to jest niewinne dziecko, które udaje prostytutkę i nie tknąłem jej. Całą noc była u mnie, gorączkowała, majaczyła... zdaje mi się, że ta matka umarła już... a ona sama była w jakimś osobliwym stanie nerwowym, teraz śpi i nie wiem... może ona bardzo chorą... może umierając... co z nią robić?... baby jakiejś tam trzeba! — wybuchnął w końcu, złością pokrywając wzruszenie.

— Zostańcie tu — rzekła Wanda, a dajcie mi klucz od waszego mieszkania. Ja pójdę, ale wy roznieście bibułę. Tu są pierwsze litery nazwisk. Znacze tych ludzi i znacie ich adresy, patrzcie proszę... — tu zaczęła komentować kryptonimy, nakreślone pospiesznie na małej karteczce — każdemu po pięć egzemplarzy „Polaka” i po parę odezw, tylko pani Zofii — 100 egzemplarzy „Polaka”, resztę odezw i wszystkie broszury. To jeszcze dziś pojedzie do Wilna. Jej zanieście najpierw, a po resztę wróćcie zaraz. Macie klucz od mieszkania i nie róbcie hałasu, bo moja „primadonna” (tak nazywała Wanda właścicielkę mieszkania) jeszcze śpi. Do widzenia!

— Dziękuję wam, Wando! Z pani jest naprawdę porządny kolega! i powiedziałbym nawet „bycza niewiasta”, ale wiem, że pani w tem wyrażeniu nie lubuje, zresztą, niesłusznie.

— Nie plećcie! — mówiła Wanda, wyjmując z szafki sole trzeźwiące... — a jak się nazywa ta panienka...

— Nie wiem. Ze wsi jest. Córka jakiegoś zbankrutowanego szlachcica.

Wanda wchodziła do mieszkania Henryka z pewną niechęcią, niemal ze wstrętem. Mimo zapewnień młodzieńca, przypuszczała, że mieć będzie do czynienia z prostytutką. Życie nauczyło ją nie wierzyć w niewinność panienek, błądzących po kawalerskich mieszkaniach.

Wrażenie to spotęgowało się, gdy ujrzała na niezbyt czystej pościeli studenta śpiącego w ubraniu dziewczynę. Nogi tylko miała białe, za pewne miłosierdną ręką Henryka uwolnioną z rozmiękłych bućków. Spała tak mocno, że nie zbudził jej zgrzyt klucza w zamku, ani kroki wchodzącej. Wanda stanęła przy łóżku i zaczęła jej się przypatrywać.

Twarzyczka była miła, dziecięca prawie, zapuchnięta od płaczu i taka jakaś... swoja... Wanda usiadła przy łóżku i ujęła ją za rękę.

A wtedy otworzyły się oczy znajome... i znajomy głos powiedział:

— Wanda! posiedź przy mnie, tak się czegoś boję!...

Wandzie pociemniało w oczach. Wydało jej się, że przeżyła lat kilku snem tylko... a oto ocknęła się w Gostkowie, siedzi przy łóżeczku Ninki i jak wtedy za rękę ją trzyma...

Światło, trumna, kwiaty...

Wanda patrzy z zachwytem na cudownie piękną, umarłą, twarz pani Eweliny. Śmierć cerze jej nadała białość i matowość marmuru, wyczelowała rysy, owiała całą jakimś uduchowieniem wzniosłym i bolesnym, zdjawszy z niej wszelką skazę ziemską. Od marmuru twarzy odbijają silnie zarysy czarnych rzęs i brwi i złotowłosów, dotąd nie posiwiiałych i jakby jeszcze żywych. Leży w białej, jedwabnej sukni, (jedynym ocalałym zabytku przeszłości) cicha ksieni tajemniczego aktu śmierci. Piękna — jak nigdy za życia!

— Najcudniejsza moja matenka! — łkała Ninka, całując jej stopy. Za trumną, prócz rodziny, szła garstka biedoty z przedmieścia i dwaj studenci.

— Teraz już wszystko będzie dobrze, skoro ona wróciła do nas — teraz już wszystko będzie znów dobrze — powtarzał Sokołowski, spracowaną dłonią gładząc płowe włosy Wandy.

Jakoż i zaczynało być lepiej.

Ninkę oddano na pensję i Wanda wzięła na siebie całkowicie koszt jej utrzymania.

Sokołowski, za protekcją panny Wandy, która wciąż jeszcze dawała lekcje u bogatych przemysłowców warszawskich, otrzymał posadę znacznie korzystniejszą — magazyniera w fabryce. Na stanowisku tem niepotrzebna była fachowość, ale za to wymagano, by kandydat był godnym zaufania. Zaręczono, że Sokołowski odpowiada tym warunkom; z resztą jego stanowisko społeczne było gwarancją.

Starsze siostry Ninki, przeciętywszy z trudem ich obawy, wciągnęła Wanda w tajną sieć roboty oświatowej. Mieszkanie ich na

przedmieściu doskonale nadawało się na tajną szkołę. Właśnie w tamtej dzielnicy poszukiwano odpowiedniego lokalu. Wykształcenie panien Sokołowskich, przy wskazówkach metodycznych, co już Wanda wobec organizacji wzięła na siebie, wystarczało dla potrzeb początkowego nauczania. I tak otrzymawszy trzy zmiany dzieci każda, uzyskały wraz z zapłatą za mieszkanie, zarobek, wystarczający na skromne utrzymanie. Nędza widmową twarzą przestała zazierać do okien tego domu.

Po dwóch latach, gdy Ninka ukończyła pensję, a młody student — wydział prawny, Henryk oświadczył się Wandzie o rękę jej „siostrzyczki”.

Odpowiedź dać było trudno, bo przez cały czas pobytu na pensji, Ninka boczyła się mocno, udawała, że go nie poznaje na ulicy, uciekała przed nim; on jednak bywał wytrwale u jej rodziny i uważał się za narzeczonego nieprzejednanej pensjonarki.

— Cóż będzie, Ninko, z tym biednym Henrykiem, — zapytała ją Wanda, gdy wracały razem z popisu na pensji.

— A no, trzeba go chyba przygarnąć, bo się zmarnuje! Taki głupi! — rzekła z politowaniem Ninka.

Przygarnięto więc biednego chłopca, ale Ninka postawiła za warunek, że Wanda mieszkać będzie u młodego małżeństwa. Henryk, który miał już niezłą posadę u wziętego w mieście mecenasa, wynajął mieszkanie, w którym jeden duży pokój przeznaczono dla Wandy. Pokój ten posiadał wielkie zalety: okno wychodzące na pusty zawsze ogród, staroświecki kominek i osobne, wprost ze schodów wejście — ideał, konspiracyjnego mieszkania.

Zaczęto nowe życie, pogodne i radosne wzrostem bujnym ziarn przyszłości.

Wanda, niekrępowana już żadnymi obowiązkami, prócz kilku godzin zarobkowych lekcji, oddała się niepodzielnie nielegalnej pracy oświatowej. Stała się duszą całego ruchu. Pisała książeczki, broszury, odezwy, rotę przysięg organizacyjnych, modlitwy, wspomnienia... a wszystkiego tego było za mało, a wszystko chłoneła chciwie pierś olbrzyma ludu... Garnęli się do pracy ludzie coraz nowi, tajały lody obojętności, niemoły, marazmu... W katakumbach zaczynał tlić płomyk życia. Wanda była najgorliwszą z westalek tego płomienia. Brała na siebie największe ciężary, narażała się na najgroźniejsze niebezpieczeństwa...

Po roku urodziło się Nince dzieciątko. Powitano je radośnie. I to było ziarenko przyszłości.

Sokołowski zachodził często do „dzieci“, ale głównie przesiadywał u Wandy pod pozorem załatwiania spraw konspiracyjnych. Bowiem, bojaźliwy ten niegdyś człowiek, dał się wciągnąć na starość w oświatowe spiski młodzieży. Wanda miała w magazynie fabrycznym, powierzonym je-

go pieczy doskonały schowek na „bibułę“. Sam jej to proponował i na każde zawołanie, nie wtajemniczając nikogo, dostarczał osobiście niedozwolonych druków. Poza tem był w sferze swoich nowych stosunków i znajomości doskonałym kolporterem i agitatorem.

Dla Wandy miał uczucie szczególne, nie tylko przywiązania ale i bezwzględne poddania się jej woli.

Okazywał jej posłuch jak niegdyś okazywał jej ojcu. Tkwiło w jego duszy dawne przeświadczenie, że córka Komisarza Rządu Narodowego wzięła po nim niby dziedzicznie w spadku jakiś rodzaj władzy potężnej i tajemniczej, jakieś moralne wódzostwo nad narodem...

(c. d. n.)

JAK STRASZNA BAJKA...

NA TLE PAMIĘTNIKA Ks. LUDWIKI BELGIJSKIEJ *).

W pięknym, starym pałacu żyło dziewczę. Szczęśliwszej od niej nie było na świecie. Najstarsza z rodu królewiat. Oczy jak dwa świecące, jasno-brunatne płomyki, a zboże w słońcu nie było jaśniejsze od jej włosów srebrzystych. Miała matkę, którą ubóstwiała, piękną, anielsko-słodką, pogodną, rozśpiewaną. I ojca — najbogatszego króla, ale który prawie nie wiedział, że ma córki. Z rodzeństwa — braciszka i dwie młodsze siostry.

Bawiła się tylko z następcą tronu, księciem Brabantu, który lubił lalki. On miał „Irmę“, ona — „Figara“. Cały dwór cieszył się nimi. Dawali przedstawienia, które rozśmieszały nawet surowego, zamyślonego króla.

Książę Brabantu umarł wkrótce, a usta królowej — matki przestały od tąd śmiać się na zawsze. Irma i Figaro zniknęły w rupieciarniach dworskich. Przestała bawić się srebrnówłosa księżniczka, bo młodsza jej siostra, nad której czołem zaświecić miała kiedyś i zgasnąć tragicznie gwiazda tronu cesarskiego, już była inną od księcia Brabantu, a druga — najmłodsza — przyjść miała na świat później dopiero.

Została sama ze swoim marzycielstwem po matce i rozkołysaną wyobraźnią, i duszą pełną sprzeczności, i zarodziła porywów, którym za głade niosło przeznaczenie.

Kołysały się nad nią złotoskrzydłe chimery, a twarda rzeczywistość szła z ostrą kosą naprzeciw nich.

Przysłano swaty książęce. Zarysował się w wyobraźni księżniczki dwór najdostojniejszy na świecie — stara, odwieczna rezydencja cesarzy. Poniosły ją marzenia. Prawie nie знаła starszego od siebie o lat 14 księcia — narzeczonego, a szła do niego rozkochane listy, bo увидziało jej się, że to jest miłość — wielka, prawdziwa — a to był tylko głos jej tęsknot odwiecznych.

Przyszły gody weselne. Suknia — cud koronek brabanckich. Dary panujących całego świata — złoto, sre-

bro, djamenty. Podróże poślubne — jeden ogród rozkoszy.

Wtem rzeczywistość: rezydencja w ponurym pałacu cesarskim, najdostojniejszym z pałaców świata. Cesarz — ostatni ze starożytnego rodu cesarzy — sztywny, suchy, zimny pod pozorem dobroduszości, automat etykiety, swobodny tylko sam na sam z przyjaciółką — aktorką... Cesarzowa — cud piękności, cud wdzięku nie z tego świata. Idąc, zdawała się nie dotykać ziemi. Ale w oczach — wielkich i smutnych — tragedia przeznaczeń: tajemnica śmierci najukochańszego syna — i jedyne — na którego czoło spaść miała cesarska korona. A potem — jej własna śmierć — nad błękitnem jeziorem — z ręki zbrodniczego szaleńca — — —

Dwór najdostojniejszy i najbar dziej zepsuty, a księżna o jasnych, jak złoto włosach, miała zaledwie lat siedemnaście, a książę — małżonek podsuwał jej książki dziwnie niepokojące i uczył ją pić najmocniejsze wino — — —

Przyszło na świat dwoje dzieci książęcych — syn i córka. Kochała je młoda matka, ale pewnie więcej kochała życie, wino, stroje, książki pełne zakazanych awantur miłosnych i własne romantyczne przygody.

Gdzieś w zaułkach serca tłukła się tęsknota za ideałem. Gdzieś drzemały cicho dawne ukochania — kwiatów, poezji, sztuki. Próbowwała odrzucić precz kuszące książki i wrócić do uwielbianych poetów — Chateaubriand Heine, a nad wszystkimi Goethe — — — Ale dworska galopada rwała w swoje tryby. Żądza zabaw i próżność zwyciężyły.

U stóp jej składali hołdy książęta, królowie. A prawie każdy odtrącony stawał się jej wrogiem i omotywał dokoła niej sieć intryg, które kiedyś miały stać się kłatwą. Kochał ją brat cesarski, kochał syn cesarza, ten, którego śmierć miała być wieczną tajemnicą. Kochał najdziwniejszy z panujących, który bił pokłony diabłu i o północy — przy dźwiękach marsza — odprawiał sabat. Dziwny król, który — zdeptał wiarę swoją i wiarę naro-

du swego, czcił Lucyfera *). Kochali się w niej dostojnicy świata, a ona — pijąc hołdy jak wino, odurzała się nimi i — szalała.

Aż stanął przed nią piękny jak bóg młody hrabia — rycerz prawdy i powiedział:

— Jesteś córką królewską, pani, a gubisz się. Zemsta chrześcijanki nad podłością, to wznieść się powyżej, a nie lecieć w dół — — —

Zabiło serce księżnej. Wróciła tęsknota do życia poezji i życia ludzi prostych, dobrych. Uciec od zatrutego wina, które ją pić nauczono... Rzucić ogrody dworskich szalów i dworskich intryg...

Dzieci?...

Syn dawno oderwany od niej. Córka zaręczona z twardym i nieugiętym jak pięść krzyżacka, księciem germańskim, odeszła podstępnie uprowadzona przez posłów dworu...

Iść, iść za nim, rycerzem prawdy, w białe progi szczęścia i ciszę bezpiecznej przystani!..

Kamaryla nie spała. Czuwał nieprzyjęty kochanek — mściwy, a silny wolą brat cesarski. Czuwali podli, płatni dworacy.

Za to, że chciała być zdala do grzechu „dostojnego“ zepsucia, które wybaczalo laskawie tajne miłości w zakamarkach pałacu, ale wpadało w płas lucyferyczny wobec prawdy wielkich, jawnych uczuć — za śmiałość jej i odwagę i rękę, wyciągniętą do lepszego życia — padł wyrok:

— Wrzucić ją do domu warjatorów! — A tego, co nią owładnął, posądzić o podpis fałszywy, i zamknąć w więzieniu karnem na zawsze — — —

Podstępem zwabiono ich dwoje, gdy od zamku do zamku, z kraju do kraju pędzili, jak ścigana zwierzyna, szukając bezpiecznej przystani. Było to w małym węgierskim miasteczku. Panowie w czarnych tużurkach, czarnych kapeluszach i rękawiczkach — ponure posły cesarskiego dworu — przyszli spełnić rozkaz.

*) „Autour des trônes que j'ai vu tomber“. Paris. A. Michel Editeur.

*) Król Ferdynand bułgarski.

On pierwszy — piękny młody hrabia. Bez sądu — na mocy papieru, który dostarczył żyd przekupiony — zwały się za nim wrota ciemnicy. Potem ona — ciśnięta w gniazdo furjatów — Przez okno za olbrzymią kratą ryk i szalone skowytu. Na podwórku, wysłanym materacami, skaczący i wyjący jak dziki pies twór potępieńczy, wypuszczony — dla powietrza — z zabarykadowanej celi.

I nie pękła jej pierś w głuchym szlochu. Nie rozerwało się serce w krzyku grozy.

Jasnowłosa księżniczko, co się z tobą stało?

Polak — socjalista *) wziął w obronę rycerza prawdy. Rycerz prawdy obronił ciebie — — —

Wykradano cię dwukrotnie. I znówu od zamku do zamku, z kraju do kraju goniono was, jak spłoszone łanie dzikiej leśnej kniei.

Jemu dawała siłę miłość i odpowiedzialność za głos prawdy. Ciebie

*) Ignacy Daszyński.

— prowadziło zrealizowanie — po latach dwudziestu — tęsknot twoich.

Jakiegokolwiek były twe grzechy, okupiłaś je twardą dolą przeznaczeń swoich — więzieniem cel obłąkańczych, głodem i nędzą dni ucieczki, losem wygnanki, którą potępił świat, której — w imię racji stanu — wyparła się cała książęco - królewsko - cesarska rodzina.

Na mękę i rozpacz skazały cię odwieczne reguły dworskiej obłudy.

Zwalone trony sędziów twoich. Rozkruszone pęta koronowanej niewoli. Wysuszony jad kłamliwych oszczerstw i zdrad przekupnych i fałszów kamaryli. Zduszona inkwizycja „prawomocnych” wyroków.

Padły trony — — — Ale — czy wraz z nimi na zawsze stoczyła się w przepaść podłość i nikczemność ludzka? — — —

* * *

Ludwika belgijska, córka króla Leopolda II i Marji Henryki austriackiej poślubiła księcia Filipa Baden-Koburg-Gotha, mając lat 17. Król Leo-

pold, zaangażowawszy własne kapitały w Kongo afrykańskim stał się najbogatszym z panujących w Europie. Testamentem z 1906 i 1907 r. wydziedziczył jednak z sum, zdobytych w Kongo, córki swoje: Ludwikę, autorkę „Pamiętnika”, Stefanję, b. następczynię tronu, wdowę po Rudolfie Habsburskim i Klementynę, która przyszła na świat już po śmierci jedyne go syna, Leopolda, księcia Brabantu. — Filip Koburski miał rezydencję swoją w Wiedniu przy dworze habsburskim, który wymagał nadzwyczaj surowej etykiety. Uciekła przed nią na dalekie wyspy cesarzowa Elżbieta, uciekł brat cesarski, Jan Orth, samobójstwem wybił się od niej arcyksiążę Rudolf, najukochańszy syn Elżbiety. Po 20-tu latach pobytu w Hofburgu porzuciła go Ludwika belgijska-koburska, rozwiodłszy się z mężem dla hr. Gazy Mattachela.

Zmarła rok temu, przeżywszy hrabiego zaledwie o kilka miesięcy.

W niezmiernie ciekawym „Pamiętniku” swoim przedstawia z wielką werwą i temperamentem cały szereg dworów, które przestały już istnieć. Rzuca żywe, barwne i bardzo prawdziwe sylwety panujących.

Całość czyta się z niesłabnącem ani na chwilę zajęciem.

C, W

2) POETKA LEGEND

Pierwsze tłumaczenie ma chyba tylko tę zasługę, że jest pierwszym, bo Roquefort starał się „ucnotliwić” poematy Marie de France, stosownie do zasad Boileau i przekwitłego pseudo-klasycyzmu francuskiego z sentymentalizmem w dodatku, a przez to samo zatracił ich świeżość i wdzięk samorodny. Moréas niemniej fałszywie pojął poetkę, bo również zaczął wprowadzać zmiany „umoralniające”. „Czystemu wszystko czyste” — mówi niemieckie przysłowie, więc też i nie dziw, że ludziom nowoczesnym trudno czasem zrozumieć naiwną prostotę poezji średniowiecza. Za naszych czasów neo-katolicyzm literacki próbuje tego coraz częściej, ale może jeden Karol Péguy potrafił osiągnąć ten ideał.

Aby wyrobić sobie niezależne pojęcie, przyjrzyjmy się jednej z najkrótszych lejs. „Słowik” (Le laüstic), w tłumaczeniu o ile możliwości dosłownem:

„Opowiem wam przygodę, o której dawni Bretoni ułożyli lejsę. Nazywa się ona „laüstic”, tak bowiem zwą oni słowika. Znaczy to imię to samo, co „rossignol” po francusku, a „nightingale” po angielsku.

W prowincji Saint-Malo, było słynne miasto. Dwóch rycerzy tam mieszkało i miało swe dworzyszcz.

A tak doskonale były obyczaje tych obu baronów, że miasto samo winne im było swą sławę. Jeden z nich zaślubił niewiastę mądrą i dworną, a zawsze pięknie przybraną; cuda opowiadano o niej, jak umiała dbać o swą urodę. Drugi zaś znany był wśród swych rówieśników męstwem, mądrością i wspaniałomyślnością. Brał udział we wszystkich turniejach, umiał być szczodrym dla innych.

Rycerz ów pokochał żonę swego sąsiada. Tyle zabiegał, tyle ją błagał, tak był doskonałym, że wreszcie umiłowała go ona ponad wszystko, zarówno za wyborne jego cnoty, które wszyscy wychwalali jednogłośnie, jak i za to, że mieszkał blisko niej (!). I miłowali się tak mądrze i dobrze. Miłość swą w wielkiej mieli tajemnicy i strzegli się bardzo, aby nikt nie mógł ich odkryć, ani spostrzec, ani nawet podejrzewać. Zaś łatwo im to było uczynić, albowiem dworzyszcz ich były jedno naprzeciwko drugiego. Sąsiadowały ich wieże, ich izby paradne i nie było ani przeszkód, okrom wysokiego muru z brunatnego kamienia. Z pokoju, gdzie sypiała dama, mogła, stojąc w oknie, rozmawiać ze swym przyjacielem, a on z nią i nieraz rzucali sobie z okna do okna rozmaite upominki miłosne. Nic nie zakłócało ich szczęścia. I oboje byliby

szczęśliwi, gdyby nie to, że nie mogli nigdy zejść się ze sobą tak, jakby chcieli, bo dama była pilnie strzeżona, gdy jej rycerz przebywał w mieście. Ale nagradzali to sobie, rozmawiając czule dniami, czy nocą, bo nikt im nie przeszkadzał stać w oknie.

I długo tak kochali się, aż przyszło lato. Zazieleniły się bory, gaje i łąki, zakwitły sady. A wśród kwiecistych ptaki bardzo słodkim głosem jeły głosić swą radość. Nie dziw, jeśli taką porą i każdy, kto kocha, mocniej czuje jarzmo miłości. I rycerz i dama wyrażali ją sobie z całego serca i słowem i spojrzeniem. Nocą, gdy miesiąc świecił, a mąż damy spoczywał uśpiony, często wstawała ona z łoża i okrywając się płaszczem — szła do okna. Tam oparta patrzyła na rycerza, który również czuwał w swym oknie większą część nocy. I radzi byli, że choć patrzeć na się mogą.

Tyle razy dama wstawała nocą, tyle razy czuwała, że mąż srogo się zagniewał. I wielokrotnie pytał ją, dlaczego wstawała z łoża i czuwała u okna.

„Panie mój, odpowiadała mu dama, ten nie zna radości na świecie, kto nie słuchał śpiewu słowika; aby go słuchać, idę co noc do okna. Tak słodki jest głos jego w ciszy nocnej, że mi rozkosz sprawia nie-

zmierną i takam jej spragnioną, że ni oczu zamknąć, ni zasnąć nie mogę.“

Gdy baron usłyszał te słowa, zaśmiał się złym śmiechem. Myślał długo, aż oto znalazł sposób: schwytać chce słowika. I niema w domu jego sługi, któryby nie gotował na jutro sieci czy pułapki, a potem wszyscy idą zastawić je w sadzie. Ani leszczyny, ani kasztana, ani gruszy nie przepuścili: wszędzie są sieci. I wreszcie złapali słowika. Więc go przynoszą żywcem panu, a ten wielce ucieszony, bierze go do ręki i idzie do komnat damy.

„Gdzie jesteś, damo? Chcę mówić z tobą, zbliż się. Oto schwytano słowika, dla którego czuwałaś tyle nocy. Odtąd możesz spać spokojnie, już cię nie zbudzi!“

Gdy dama to słyszy, czuje w sercu gniew i boleść. Prosi męża swego, aby jej oddał słowika. Ale on zabija ptaszka, zdusiwszy go w obu rękach, a potem czyni rzecz trudną do opowiedzenia: rzuca ciało ptaka na damę, tak, że skrwawiło jej suknię poniżej nieco piersi. I zaraz wychodzi z komnaty.

Dama bierze ciało maleńkie do ręki. Płacze gorzko i przeklina tych, co robili sieci i schwytali zdradziecko ptaszynę, bo pozbawili ją jedynej radości.

„Biada mi, mówi. Nie będę już mogła wstawać nocą, ani czuwać w oknie, gdzie widziałam mego rycerza. I on pomyśleć może, że go mniej kocham; jestem tego pewną. Trzeba mi zawiadomić o wszystkim. Poślę mu tedy słowika i opowiem wszystko.“

W sztukę pięknej materji, haftowanej złotem, na której wszystko wiernie opisała, dama zawiąza małe ciało słowika. Woła swego sługę zaufanego i każe mu to oddać rycerzowi. Idzie sługa do rycerza, od damy pozdrowienia mu oddaje, potem

z czem posłan, opowiada i oddaje słowika.

A gdy wszystko opowiedział i pokazał, tedy rycerz, który go słuchał z uwagą, zatroskał się wielce, ale nie postąpił, jak człowiek zły albo powolny. Kazał ukuć szkatułkę maleńką. Nie była ona ani z żelaza, ani ze stali, ale z czystego złota i drogocennych kamieni i miała dobre zamknięcie. Tam złożył rycerz słowika, a potem kazał ją zamknąć na głucho i zawsze ją nosił przy sobie.

Przygodę tę zaczęto sobie opowiadać, nie można było ukryć jej długo. Bretoni zrobili z niej lejsę, która zwie się słowik.“

Druga, podobnie krótka lejsa opowiada o spotkaniu się dwojga legendarnych bohaterów bretońskich, Tristana i Izoldy. Królowa o złotych włosach ma przejeżdżać przez las, Tristan czeka przy drodze, a na znak swej obecności zatknął w ziemię ostruganą gałązkę leszczyny, na której nożem wyciął swe imię. Izolda spostrzega gałązkę, mówi, że chce wypocząć w lesie i z wierną swą dwórką, Brangien, oddala się od swego orszaku. Spotykają się z Tristanem i spędzają kilka chwil na rozmowie, zwierając sobie wzajemnie swe troski i tęsknoty, a Tristan tłumaczy Izoldzie, że nie mogą istnieć bez siebie, jak ten powój bez leszczyny, o którą się oplółł.

„Belle amie, ainsi va de nous

„Ni vous sans moi, ni moi sans vous“.

A potem żal rozstania i lejsa skończona. Są inne znacznie dłuższe, jak „Guigemer“, „Lanval“, „Eliduc“ i t. d. W „Eliduc“ jest nawet pewna próba analizy charakterów ówczesnych ludzi, wcale ciekawa.

Rycerz pewien, piękny i waleczny, został oskarżony niesprawiedliwie przed swym królem. Rzuca tedy dom i młodą, szlachetną i urodziwą małżonkę i idzie w świat. Przybywszy do innego państwa, udziela skutecznej pomocy tamtejszemu królowi i tak się wstawia, że córka królewska, dziewczyna niezwykle piękności, pragnie być jego damą. Po pewnem wahanii Eliduc decyduje się odpowiedzieć wzajemnością na uczucia królewnej, ale oto obowiązek wzywa go do powrotu: jego prawdziwy władca żałuje swego niesprawiedliwego sądu i chce mieć przy sobie walecznego rycerza. Wraca tedy Eliduc do ojczyzny, ale chmurny jest i posępny.

Nie mogąc się przezwyciężyć, Eliduc wraca do kraju ukochanej i uwozi królownę. Ale ta na statku podczas burzy dowiaduje się wypadkowo, że Eliduc ma już żonę. Zrozpaczona królowna popada w tak głębokie omdlenie, że wszyscy mają ją za umarłą. Jak umarłą pozostawia ją w samotnej kaplicy pustelnika w lesie i dopiero ze snu tego obudzi ją szlachetna żona Eliduc'a, zaniepokojona rozpaczą męża i jego częstymi wycieczkami do lasu. Ona też poświęci się, idąc do klasztoru, a Eliduc poślubi swą ukochaną.

Zawsze i wszędzie miłość zwycięża wszystko; amor omnia vincit. Marie de France, poetka legend, pochylona łagodnie nad wspomnieniami przeszłości już wtedy legendarnej, ma jak Janus, drugie oblicze, zwrócone w stronę przyszłości, gdzie mają wkrótce bujnie zakwitnąć nowe kwiaty poezji. Poganizm łączy się nieraz u niej z chrystjanizmem, nimfy i rusalki stoją obok zakonnic. A nad wszystkim czuwa owa miłość, która „vigilat et dormiens non dormitat“.

(c. d. n.)

Dr. M. Kastarska

24)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

W południe odczytano skazanym w sali sądowej wyrok śmierci. Po długiej efektownej pauzie, prezydent komisji specjalnej oznajmił im „najmiłościwsze ułaskawienie: więzienie dożywotnie dla Confaloniergo i Andryane'a, mniej lub więcej długie dla innych.“

„Miłościwy“ monarcha rozkazał, aby „dla obudzenia zbawiennej grozy u źle myślących“, ogłoszenie wyroku odbyło się „z największą uroczystością“. Na szafocie wystawiono w okowach sześciu „nieprzyjaciół Boga, ojczyzny, tronu i ołtarza“ ku publicznemu pohańbieniu, a równocześnie na szubienicy, wzniesionej opodal, kat przybił arkusz z nazwiskami dziewię-

ciu, zasądzonych in effigie, którzy zdolali schronić się zagranicę.

Podczas gdy sędzia odczytywał donośnym głosem wyrok zgromadzonemu tłumowi, Confalonieri miał tylko jedną myśl: Na miłosierdzie boskie! tylko teraz nie zemleć, nie zrobić z siebie widowiska oczom urągliwym czy nawet litosnym, któreby mogły niemoc fizyczną wiać za upadek duchowy!

Dygocąc z zimna i osłabienia, ogromnym wysiłkiem woli utrzymał się w postawie dumnej i spokojnej i, jak raport policyjny zaznaczył: „wodził śmiało spojrzeniem“ po masach, cisnących się koło szafotu. Tłum,

steroryzowany co prawda przez wojsko, które dnia tego z imponującą wystąpiło siłą, nie zaszemrał groźnie, nie zajęczał żałośnie, patrząc na pohańbione głowy, na skute ręce tych, co łudzili się, że „z motłochu robią naród“. Publiczność medjołańska zaś służyła sobie na obelżywą pochwałę policji austriackiej. Confalonieri patrzył z wysokości szafotu na ukochane swoje miasto i gorycz zalała mu serce.

„Widziałem — wspomni — łzami zalane oczy płci tkliszej, twojej płci, o Tereso, widziałem smutne twarze nielicznych przyjaciół, ale w większości ciżby dostrzegłem tylko obojętną ciekawość, a gdzie indziej szy-

dercze uśmiechy i mówiłem sobie w duchu: o populus, populus“!

Współczucia doświadczył za to ze strony wcale nieoczekiwanej. Po skończonej barbarzyńskiej ceremonii jeden z żandarmów, odpinając łańcuchy, którymi skazani przymocowani byli do słupów rusztowania, pochylił się z pełnym szacunku współczuciem do ucha więźnia: *La povera Signora*—szepnął—biedna pani jest zdrowa, moja dziewczyna jest przyjaciółką pokojówki pani hrabiny i widuje ją codzień. Zdrowa, tylko bardzo płacze”. Federigo uściśnął rękę litościwego człowieka. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że jeśli żyje jeszcze w tej chwili, to za sprawą Terezy i doznał pewnej ulgi na myśl, że straszliwy ból patrzenia na jego śmierć został oszczędzony tej, która już tyle dla niego i przez niego cierpiała.

VII

Niedługo trwała radość pani Terezy z wywalczonego nad śmiercią zwycięstwa. Wiadomość o okropnym „widowisku“, niepokój o dalsze losy skazańca, zatrały ją doszczętnie. Dowiedziała się zaraz, że Federigo, odprowadzony do więzienia, miał znów ciężkie nerwowe ataki i, odzwyczajony od powietrza, zaziębił się i większej dostał gorączki. Choroba męża, która rozdzierała jej serce, obudziła w niej jednak błysk nadziei. „Przecież w takim stanie go nie wywiozą“? pytała z logiką prostej duszy, nieświadomej jeszcze całej perfidji austriackiej. „Jakiż sens byłby darowywać mu życie, gdyby go zamęczyć chciano?“

Ludziła się jeszcze nieboga, że pozwolą jej towarzyszyć mężowi, a pozatem snuły się jakieś nadzieje

wykradzenia, ucieczki. Władze były w ciągłej obawie i chciały niebezpiecznego więźnia co rychlej się pozbyć.

Tymczasem wobec jego choroby nastąpił spór między lekarzami sądowymi, jeden litościwszy twierdził, że podróż zabije chorego, drugi nie widział w niej przeszkody. „Gubernialrath“ Kluky, wezwany do rozstrzygnięcia, orzekł, że gdyby czekać na wyzdrowienie Confalonierogo, to mógłby on całe życie przesiedzieć w Medjolanie. Najprawdopodobniej musi on ulec któremuś z ataków, a więc czy nie wszystko jedno? Dodał, że naturalnie, wieść go należy „ze wszystkimi względami, jakie ludzkość nakazuje wobec chorego“.

Tem pocieszono panią Teresę.

Instrukcja wydana przez władze brzmiała trochę dwuznacznie: „p. komisarz, kierujący konwojem, powinien starać się pogodzić ludzkość z należytym ubezpieczeniem więźnia“, a komisarzem tym był Bolza, znany z brutalności, ten sam, który aresztował niegdyś hrabiego.

1-go lutego Confalonieremu pozwolono pożegnać się z żoną i ojcem. Ledwie Teresa zdążyła rzucić się na szyję męża, a już musiała, w poczuciu delikatności, ustąpić miejsca sędziwemu ojcu. Stary egoista był przecież głęboko wstrząśnięty, widząc syna po dwóch latach, bardzo zmienionego, mimo, że Federigo, z trudem trzymający się na nogach, starał się ukryć swoje osłabienie. Słuchając w milczeniu ostatnich rad i napomnień ojca, patrzył tylko na Teresę, której wielkie łzy spływały po bladej twarzy, choć usta starały się uśmiechać aż do końca. Długi uścisk, w który oboje „całą duszę włożyli“, krótkie, mężne słowa: „Do widzenia, jeśli nie tutaj, to u Boga“ i nieszczę-

śliwi małżonkowie rozstali się — na zawsze.

Dwa razy jeszcze, ostatnio w samą wigilję wyjazdu, przychodził bezskutecznie nękać więźnia dyrektor policji Torresani z polecenia gubernatora, którego „najgorętszym życzeniem“ było, aby „doprowadzić Confalonierogo do przełamania milczenia i zmusić go przynajmniej do dostatecznych informacji o Towarzystwie Tajnem i wydania imion adeptów jeszcze nieznanach“.

„Uparte milczenie będzie dowodem zatwardziałości jego serca i okaże, jak mało zasługiwał na łaskę monarszą“.

Z „zatwardziałym przestępcą“ nie bawiono się już w dalsze ceregiele.

5-go lutego, o pierwszej w nocy, wyciągnięto chorego z łóżka, bezpośrednio po ataku, zakuto w piętnastofuntowe kajdany i tak „ubezpieczonego“ poniesiono, bo iść nie mógł, do karetki więziennej, otoczonej tak silnym konwojem, jakgdyby szło — mówi Confalonieri — o bandę rozbójników, a nie jedną, wziętą na łańcuch, bestję“.

Kiedy smutny kondukt z sześciu skazanymi, pod kierownictwem komisarza Bolzy, ruszył, otoczony konnym oddziałem żandarmów, przez ciche ulice uspiętego miasta, Federigo nie mógł się oprzeć dziwnemu wrażeniu, zdawało mu się, że Teresa idzie obok drzwiczek powozu. Mimo sprzeciwu straży podniósł się i wychylił, ale ujrzał tylko ciemność i potoki deszczu. Przymknął oczy, wrażenie obecności żony wróciło znowu i ustało dopiero, gdy byli za miastem i zaczęło świtać.

(c. d. n.).

K. Bielańska

CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Paola Lambroso w swojej gruntownej pracy: „La vita dei bambini“ (Życie dzieci) przypisuje korzystny—zdaniem jej—wpływ bajki nietylko bogactwu wyobraźni dziecięcej, ile zupełnemu nieokiełznaniu jej, nieujęciu jej jeszcze w karby rozumu. Nie istnieją—powiada ona—dla fantazji dziecka rzeczy niemożliwe. Dziecko 3—lub 4—letnie nie wie nic jeszcze o łączności przyczyny i skutku; obcą mu jest istota rzeczy i obce ich właściwości. Cały świat otaczający jest dla dzieci pełen czarów i niespodzianek; i dla tego fantastykny, nadnaturalny świat bajek nietylko nie ma w sobie dla małego dziecka nic niemożliwego i nieprawdopodobnego, lecz, przeciwnie, wydaje mu się zupełnie jasnym, prostym i naturalnym. Opowiadania o

„śpiewającym drzewie“ lub „tańczącym kamieniu“ wywołują w duszy dziecka te same zupełnie wrażenia, co zjawiska rzeczywistego, otaczającego je, świata. Dla czego zresztą—trafnie spostrzega włoska uczona—miałoby dziecko dziwić się, że drzewo może śpiewać, skoro gra katarynka lub odzywają się naciśnięte klawisze fortepianu, gdy oba te sprzęty tak podobne są do innych, również z drzewa zrobionych, mebli, zaś wewnętrzna ich budowa nieznaną jest jeszcze dziecku“.

Dorośli, przywykli do właściwego analizowania zjawisk świata zewnętrznego, nie są wcale w stanie wyobrazić sobie, jak dziwnie oddziałują one na umysłowość dziecka, jak np. 3—lub 4—letnie dziecko, które widziało śnieg, padający z nieba w sposób zu-

pełnie naturalny i nie wywołujący zdziwienia dorosłych, nie widzi tak samo nic nadnaturalnego w opowiadaniu o deszczu srebrnych czy złotych pieniędzy, czekoladek czy cukierków. Fakt, że zwierzęta lub rzeczy mogą mówić tak samo jak ludzie, wydaje się dzieciom w tym wieku zupełnie naturalnym. Stąd tak częste pytania, czem się bawią ptaszki, gdzie mieszkają muszki, co jedzą i t. p. Siostrzeniec mój 3—letni, z którym odbywałam dłuższą podróż koleją, niecierpliwił się podczas dłuższego postoju na stacji, ale wnet uspokoił się sam, przypomniawszy sobie, że kolej pije pewnie tak długo swoje kakao, więc nie można jej przerywać śniadania“.

Mylne jest zatem przypuszczenie, iż opowiadaniem dzieciom bajek

niepotrzebnie przenosimy je w jakiś fantastyczny, nieprawdziwy i nieprawdopodobny świat, w którym widzą one jedynie wymysł poetycki. W gruncie rzeczy bowiem znajdują dzieci w tym świecie pałaców zaczarowanych, różdek czarodziejskich, głosów tajemniczych, zwierząt mówiących i działających — zjawiska, które w ich pojęciu bliższymi są rzeczywistości, aniżeli w pojęciu osób dorosłych. Osobiste doświadczenia i przeżycia dziecka tego są rodzaju, że najfantastyczniejsze bajki czarodziejskie nie mają w sobie dla nich więcej elementu cudu, aniżeli otaczający je świat.

Trafność wszystkich powyższych spostrzeżeń tak jest oczywista i przekonująca, że obala ona najzupełniej obawy wyrażane przez Palmgręna i stronników jego poglądu. Pozostaje jedynie kwestia wyboru bajek. Nie wszystkie, jak stwierdziły, wielokrotnie przez pedagogów przeprowadzane, doświadczenia jednakowo przypadają dzieciom do smaku. Przedewszystkiem też musimy wykluczyć te, które nie są odpowiednie dla zupełnie małych dzieci we właściwym pierwszym okresie bajkowym (od 3 — 6-letnia). Na ogół powiedzieć można, że właściwszą dla dzieci w tym wieku jest typowa bajka dziecięca, bajka ludowa i legenda oraz nieliczne tylko bajki t. zw. poetyckie, nigdy wszakże bajki o charakterze przypowieściowym lub zgoła krotkimi, facecyjnym, nadające się przeważnie dla dorosłych. To samo do pewnego stopnia powiedzieć można o wielu poetyckich bajkach Grimma, Andersena, oraz o bajkach arabskich, których piękna dziecko zupełnie nie jest w możności ocenić.

Wychowawcza wartość bajki — jak słusznie zaznacza Prüfer — polega na jej znaczeniu, jako czynnika budzącego, a w następstwie kształtującego, poczucie estetyczne i moralne. Aby jednak cel ten osiągnąć, musi treść i forma bajki dostosowana być do duchowego poziomu dziecka. Takimi są np. bajki Konopnickiej, które wprost i treścią i formą za wzór bajki dla małych dzieci służyć mogą. „Janka Wędrownicza” np. umie większość małych dzieci na pamięć, tyle razy musi im bajka ta być powtarzana. Doskonale nadają się też międzynarodowe już dzisiaj bajki „O śpiącej Królewnie”, „Czerwonym Kapturku” (bez względu na Palmgręnowską obiekcję co do złego wilka), „O Królewnie Śnieżce”, o „Tomciu Paluchu”, o „Kopciuszku” i t. p.

Wszystkie one stanowią idealny punkt wyjścia wychowania estetycznego, bowiem 3 — 5 letnie dziecko może doskonale wczuć się w nie, przejąć się niemi i rozszerzyć za ich pomocą swój horyzont myślowy, znaleźć w nich odpowiedni pokarm dla swojej wyobraźni. Znaczenie bajki, jako czynnika, kształtującego etycznie, polega głównie na tem, że dobrana bajka zaludnia świat wyobraźniowy

dziecka szlachetnymi, świetlanymi postaciami, które dziecko, zapoznawszy się z nimi bliżej, uczy się kochać i które tem samem wywierają muszą wpływ na całą jego sferę uczuciową. Poglądowo zatem w jedynie dostępnej dla siebie postaci, zapoznaje się dziecko z bajek z pojęciami miłości braterskiej, wierności, wdzięczności, wytrwałości, pracowitości, skromności, i odwagi i t. p. Uczucie zadowolenia i zachwytu z powodu szlachetnych uczynków, spełnianych przez bohaterów i bohaterki bajek przybiera z czasem we własnej sferze pojęciowej dziecka charakter stałej wielkości, kierującej częściej może, niż przypuszczamy, jego postępowaniem etycznym. Dużą rolę odgrywa też tutaj wrodzony dziecku zmysł naśladownictwa.

Oczywiście możliwe jest to jedynie pod warunkiem czujnego, ostrożnego wyboru bajek, bowiem wiele z nich gloryfikuje niemoralne wprost czyny, jak np. znana bajka: „o Trzech Próżniakach”, lub „o Trzech Prądkach”, w których leniwczy, kłamcy i oszuści hojną zyskują nagrodę.

Jak już zaznaczyliśmy, stoi współczesna pedagogia na stanowisku, że opowiadanie, względnie czytanie dzieciom bajek zaczynać należy od 3-go lub 4-go roku życia, zależnie od szybkości rozwojowego tempa danego dziecka. W tym okresie budzić się zaczyna zaciekawienie dziecka zjawiskami otaczającego świata, ale małe stópki i drobne ramionka nie sięgają jeszcze dość daleko, aby je objąć samodzielnie. Kto im zjawiska te odmalowuje w sposób, odpowiadający ich nieznającej granic fantazji, zdobywa sobie od razu ich serduszką.

Stopniowo wszakże przenika do duszy dziecięcej coraz większa świadomość rzeczywistości. Powoli budzić się w niej zaczynają pojęcia przyczynowości, a wraz z tem coraz mniej podatnem staje się ona podłożem dla bajki. Kiedy dzieciom w tem wyższym już stadium rozbudzenia umysłowego opowiemy np. że żaba zamieniła się w królewicę, usłyszeć możemy nieśmiało zapytanie: „Czy to może być prawda?” Dla czujnego wychowawcy jest to znak, wskazujący, że dziecko doszło już do kresu wieku bajek, bowiem rozbudziło się w niem myślenie, a nawet pewien stopień krytycyzmu. Doświadczenie i znajomość rzeczywistości stopniowo obalać zaczynają wiarę dziecka w bajkowy element celu. „Kiedy, doszedłszy do tego okresu — mówi doskonały znawca duszy dziecięcej, dr. Prüfer — zada dziecku pytanie, zdradzające wątpliwości, jakie budzą się w jego umyśle co do możliwości opowiadanych cudów, nie należy mu przysłać istotnej prawdy, ażeby nie mącić jego pierwszych, nieśmiałych prób logicznego myślenia”.

Jest to zarazem ostrzeżenie, że od bajek fantastycznych należy przechodzić stopniowo do opowiadań z rzeczywistości. Po latach przejście

wych, mianowicie w 8-ym lub 9-ym roku życia, radzi on znów dawać dzieciom bajki, bowiem — jak powiada — ustaliło się już w umyśle dziecka pojęcie o świecie rzeczywistym. Jest już ono w stanie odróżnić istotę rzeczy od jej pozoru, rzeczywistość od twórców fantazji. Wtedy już w innym zupełnie nastroju wchodzi ono w świat bajek, dojrzało bowiem już do odczucia poetyckiego piękna ich i szukania czysto estetycznej w nich rozkoszy.

(c. d. n.)

Emilja Tecka.



„DWIE ZASŁONY”.

Na konferencji socjalnej Zjednoczonych Prowincyj w Indjach, która się odbyła niedawno w Bombaju, zdarzył się fakt niezwykle: na przewodniczącą bowiem tej konferencji obraną została — kobieta, znana działaczka społeczna w Indjach, pani Jwala Prasad. Dotychczas, od czasu ustanowienia tych konferencji, na których rozstrząsane są najważniejsze sprawy życia społecznego w Indjach, żadna kobieta nie dostąpiła zaszczytu przewodniczenia tym obradom.

Pani Prasad w dłuższym przemówieniu zobrazowała stan obecny sprawy kobiecej w Indjach.

„Pomyślny rozwój sprawy kobiecej w kraju naszym hamowany jest przez dwie, bardzo trudne do przezwyciężenia, przeszkody, wynikające z dotychczasowych przesądów i uprzedzeń. Są to dwie purdah (zasłony), jakie nam narzucono przez długi szereg wieków. Purdah fizyczna ogranicza swobodę naszych ruchów i zamyka dziewczęta i kobiety nasze w czterech ścianach domostwa. Purdah umysłowa — jeszcze boleśniej — utrzymuje dusze i umysły nasze w ciemności i ograniczeniu. — Duch czasu domaga się koniecznie zmiany tych warunków. Ruch uświadamienia narodowego i społecznego ogarnął w równej mierze kobiety, jak i mężczyzn w naszym kraju. Nie chcą one już żyć dłużej tem dawnym, wegetatywnym życiem poza swoją zasłoną — pragną wyjść w świat i wziąć wespół ze swymi mężami, ojcami i braćmi udział w walce o byt naszego kraju. Pamiętajmy o tem, że jeśli odsuniemy kobiety od nauki i życia społecznego, połowa naszego narodu stanie się martwym i bezużytecznym trupem”.

Konferencja uchwaliła rezolucję w której podkreśla, że „zadaniem

obecnych reform społecznych w Indjach jest odbudowa socjalna kraju, oparta na zasadach sprawiedliwości, równości i wolności, oraz czystości moralnej, polegających na zniesieniu wszystkich, sztucznie ustanowionych różnic i przywilejów.

PODRÓŻNICZKA PO SAHARZE.

Sahara! Magiczne słowo, otwierające przed nami nieskończone dale poetycznych piasków, zalanych jaskrawym światłem afrykańskiego słońca. Zielone oazy ocienione palmami... Długie karawany białych postaci na fantastycznych sylwetkach wielbłądów... Dalekie miraż umarłych miast jawiące się oczom zbłąkanych podróżnych, konających z pragnienia...

Iluz to ludzi pociągnął ku sobie ten czar pustyni! Ilu Europejczyków usiłowało dotrzeć do „serca Sahary”, aby wydrzeć jej tajemnicę, zazdrośnie strzeżoną przez rozpalone diuny piaskowe... Ci, którym łaskawy los pozwolił powrócić z tej wyprawy, opisywali swoje wrażenia w licznych dziełach — naukowych i beletrystycznych — jakich tyle mamy we wszystkich językach europejskich. Czy jednak wiele z pośród tych dzieł nie opiera się jedynie... na wyobraźni?

Tak przynajmniej utrzymuje Rosita Forbes, młoda, ale już bardzo znan autorka kilku książek o pociągających tytułach: „Klejnot w łotosie”, „Podróżni bez przewodnika”, „Poszukiwanie”. Rosita Forbes pomimo swego młodego wieku (nie ma bowiem jeszcze lat trzydziestu) przebyła już kilkakrotnie Saharę, zapuszczając się tam, gdzie nie dotarła przed nią żadna kobieta — a zaledwie niewielu mężczyzn.

W przebraniu Beduinki podróżowała przez długie tygodnie na grzbiecie wielbłąda, zwiedzając osady mieszkańców pustyni i zapoznając się z prawdziwym (nie zaś oglądanym przez szkła romantycznych okularów) życiem arabskich szejków i ich rodzin. Jak każda kobietę, interesowało ją przedewszystkiem to: co taki naprawdę dziki, a jednak po swojemu szlachetny i bohaterki Beduin myśli — o kobiecie? O kobiecie swego plemienia i o kobiecie z zamorza — z kulturalnej Europy?

ZDANIE BEDUINOW O KOBIECIE.

Prawdziwy syn pustyni nie mówi nigdy o kobiecie. Przedmiot ten — jego zdaniem — nie nadaje się do dyskusji. Jednakże, pewnego wieczoru, podróżnicze naszej udało się przełamać niechęć gościnnego Emira Abdullii, i skłonić zarówno jego, jak i innych gości, raczonych obficie baraniną w jego namiocie, do rozmowy na ten drażliwy temat.

„Miłość? nie rozumiem tego słowa” — rzekł stary Mulej Sadig, a wszyscy słuchali tej mowy z uzna-

niem pełnem szacunku. — Gdy kobiety moje są głodne, dają im jeść; gdy są chore, leczę je; lecz miłość może im dawać tylko głupiec”.

Bado ed Din el Bakali, wielki podróżnik, który szczylił się znajomością „tysiąca miast” wygłosił następujące zdanie:

„U was, w Europie, kobiety przynoszą swym mężom sute posagi; nasze przychodzą do nas tylko z chusteczką w rękę i z nóżkami ufarbowanymi hambrą. Za cóż tedy mielibyśmy je kochać?” A sam gospodarz dodał poważnie: „Wasze kobiety nie posiadają w oczach naszych żadnego uroku. Czyż warto spojrzeć dwa razy na twarz, nie osłoniętą żadną zasłoną? Jedynie tajemnica wabi i pociąga ku sobie!” I zacytował słowa głośniego arabskiego poety, stanowiące kryterjum urody niewieściej... w guście wschodnim:

„Oblicze jej niechaj będzie jako księżyc w pełni, podbródek — jako kula na puharze ze słoniowej kości, a biodra jej tak ciężkie, iżby z trudnością poruszać się mogła”.

PRAWA I PRZYWILEJE KOBIETY ARABSKIEJ.

Błędne byłoby mniemanie, że kobieta arabska żyje w pogardzie i poniżeniu. Przeciwnie: posiada ona wiele przywilejów, nieznanych nawet jej siostrze w krajach bardziej cywilizowanych. Po śmierci rodziców dziedziczy połowę tego, co otrzymuje jej brat, a fortuna ta staje się jej wyłączną własnością którą nikt, prócz niej samej, administrować nie ma prawa. Zanim dojdzie pełnoletności, może wyjść za mąż za pozwoleniem swego opiekuna, (który jednakże nie może przymusić jej do małżeństwa); jako pełnoletnia wybiera sobie męża jedynie według swego upodobania. W razie złego pożycia małżeńskiego, ma prawo do rozwodu. Jest wyłączną opiekunką swoich dzieci: syna do szóstego roku życia, córki, — do chwili jej wyjścia za mąż.

Prawa niewolnic są również bardzo obszerne. Macierzyństwo czyni je wolnymi. Jednak i inną drogą mogą bardzo łatwo uzyskać wolność, Koran bowiem powiada: „Wyzwolenie niewolnika jest uczynkiem najmiłszym Allahowi”. Niewolnica wychodząca za mąż za zgodą swego pana może zażądać od niego takiej samej wyprawy, jak córka domu — w razie zaś złego traktowania przez męża ma prawo powrócić do domu swego pana.

Tyle już fantazjowano na temat haremów, eunuchów, niewiernych żon topionych w morzu lub uciekających z zakochanymi w nich oficerami — pisze Rosita Forbes w swym ciekawym artykule w „Home” — że trzeba przedewszystkiem jak najkategoryczniej stwierdzić, że jedyną rzeczą, której kobieta z arabskiego haremu nigdy nie pragnie, jest — ten harem

opuścić. Swobodę ruchów Europejki interpretują one w sposób zupełnie swoisty. Podczas mojej podróży po pustyni pewna Beduinka zapytała mnie ze zgrozą: „Czyż doprawdy wasi mężowie są na tyle okrutni, aby was zmuszać do odchodzenia tak daleko od domu — bez żadnej opieki?”

Życie na Saharze nie jest ani łatwe, ani poetyczne. Jest to życie ciężkiego trudu i wytężonej walki z wrogą naturą i z nieprzyjacielem — człowiekiem. Role obu płci są ściśle rozgraniczone, „Mężczyzna walczy i nosi broń, kobieta pracuje i wychowuje dzieci”. A ta praca kobieca jest tak różnorodna! Gotowanie, pranie i szycie odzieży, tkanie dywanów, wypalanie naczyń glinianych, plectenie wielkich kapeluszy z łyka palmowego, przyrządzanie kleju z daktyli i „leghbi” — sfermentowanego napoju — z soku palm — oto mniej więcej schemat całodziennych obowiązków Beduinki. W życiu jej niema miejsca na próżniactwo i jałowe narzekania na niesprawiedliwość losu. Świadomość ciągłego niebezpieczeństwa pomnaża wytrwałość i pogodę w znoszeniu ciężarów życiowych. Tam, gdzie życie ludzkie wisi na włosku — gdzie jedna burza, jedno najmniejsze zbroczenie z drogi podczas wielomilowej podróży staje się niechybną przyczyną śmierci całej rodziny — musi się człowiek nauczyć głębokiej, prostej wiary w Opatrzność, która kieruje ludzkimi losami. I ta to wiara właśnie sprawia, że kobieta arabska przyjmuje z pokorą swój ciężki los i umie być dumna ze spełnianego wytrwale, aż do końca, obowiązku.

POCHWAŁA MACIERZYŃSTWA.

Spytaj Araba, co mu jest ze wszystkiego na świecie najdroższe? (Język arabski zna tylko jedno słowo na określenie „lubić” i „kochać”). Odpowie ci, że albo jego naród, albo wiara, albo miecz czy też fuzja — ulubony koń lub wytrwały wielbłąd; spytaj jednak o to Arabkę, a odpowiedź będzie zawsze jednakowa: „Mój syn”. Kobieta arabska nie rozumie nawet, jak mogłoby być inaczej? Dzieci są jedynym jej szczęściem, jedyną miłością. Innej miłości nie zna. „Mój pan i małżonek nie ma czasu na miłość: zajmują go rzeczy poważniejsze” — powiedziała do Rosity Forbes pewna Marokanka, opierając głowę na kolanach swej towarzyszki — rywalki, którą traktowała z prawdziwie siostrzaną przyjaźnią.

To też Arab ma głęboki szacunek dla macierzyństwa. Przysłowie tamtejsze głosi: „Pod stopami matki zakwitł raj”. A kobieta z haremu niczego się tak nie obawia, jak bezdzietności. „Przyszłość nie ma żadnych darów dla nieplodnej niewiasty” mówi Beduinka i oczekuje z upragnieniem narodzin dziecka. Prawo chce, aby niewolnica, jeśli zostanie matką, odzyskała natychmiast wolność.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

ZNACZENIE WYCHOWAWCZE ZABAW I GIER RUCHOMYCH.

Powiedzieliśmy już w poprzednich pogawędkach, że podstawą wychowania fizycznego jest prócz zapewnienia młodzieży higienicznych warunków domowych i szkolnych, systematycznie prowadzona gimnastyka szwedzka.

Zarzut jednak, jaki można zrobić gimnastyce, to ten, że choć wiele ćwiczeń można przeprowadzić na dworze, dla całości swego programu wymaga ona sali, przyrządów, czystej i równej podłogi.

W naszym klimacie porą odpowiednią na gimnastykę zbiorową, systematycznie prowadzoną, jest późna jesień, zima i wczesna wiosna, to jest czas, gdy na boisko dzieci wyprowadzić nie można. W piękną pogodę wobec braku dużych, słonecznych i należycie przewietrzanych sal gimnastycznych, wobec mało rozpowszechnionego zwyczaju długich, codziennych spacerów, szkoda wprost trzymać młodzież pod dachem. Zresztą w naszych programach szkolnych gimnastyka jest aż dwa razy tygodniowo (!) a dzieci codziennie ruchu użyć powinny. Zabawy więc i gry powinny zająć im przerwy między lekcjami, wolne godziny poobiednie, jednym słowem każdą niezajętą chwilę.

Dzieci niewielkimi grupami umieją się bawić same, szczególnie chłopcy. Dziewczynek w większych ilościach bawiących się na placach, podwórkach lub ogrodach prawie się nie widuje. Nic to dziwnego przy niskim stanie kultury naszej publiczności, gdyż są one narażone na śmiechy i zaczepki nie tylko ze strony chłopców, ale niestety i starszych często.

Narazie więc, dopóki się nie dokoną gruntowna przemiana w poglądach najszerzych warstw naszego społeczeństwa na wychowanie fizyczne młodzieży, a specjalnie dziewcząt, niesposób pozostawiać im tego własnej inicjatywie, szkoła i dom muszą je do zabaw ruchomych przyzwyczajać i zachęcać.

Dla nauczyciela czy rodziców lub innych wychowawców, prowadzenie gier jest nadzwyczaj wdzięcznym zadaniem choć może trudnym i bardziej męczącym od innych. Dwa na to składają się czynniki, dwie rzeczy między którymi trzeba umieć zachować złoty środek. Karność i porządek z jednej strony, a z drugiej radość, ruch i życie.

Nie można dzieciom pozwolić zmienić zabawę na szarpaninę, krzyki i kłótnie, nie można kazać im być manekinami. Zabawy mniejszych dzieci, do jakich lat 7-miu, polegają głównie na ruchach imitujących zajęcia starszych, zwierząt, wogóle życie otaczające, dzieci muszą mówić lub śpiewać przy tem. Różne pociągi, ojciec Wirgiljusz tradycyjny, baty, przepióreczki, szewczyk, sianie maku i t. p. to ulubione tematy zabaw dzieciennych.

W grach dla starszej młodzieży wchodzi już przeważnie czynnik walki, rywalizacji jednostek i partji całych (drużyn). Tem możnaby określić różnicę między zabawą a grą, choć ściśle się jej przeprowadzić nie da.

Ucząc nieznana grupę dzieci gier, najlepiej jest pozwolić im w początku zabawić się samym. Pozwoli nam to od razu poznać wybitne cechy ich charakteru. Będziemy od razu wiedzieli z kim mamy do czynienia.

Narazie powstanie w grupce zamieszanie, każdy chce czego innego. Energiczniejsze i żywsze już pociągnęły za sobą kilkoro, już nie zwracają uwagi na resztę, przynoszą piłkę, rysują granicę, liczą, wybierają i t. p. Bardziej „społeczne“ nadaremnie przekonują, że wszyscy przecież mają się bawić, proszą, żeby się zgodzono na jedną grę, proponują niechętnym, żeby sami coś zaprojektowali. Malkontenci, a ci znajdują się wszędzie i są plagą prowadzącego grę i przede wszystkim dzieci samych, już zdążyli się obrazić, siadają lub stoją pod drzwiami, odchodzą. Jedno dla nich zbyt dziecinne i głupie, przy drugim za dużo trzeba biegać.

Tacy w trakcie gry kłócą się, a w razie przegranej zwalają winę na słabszych towarzyszy, wypominają najmniejsze przekroczenia prawideł partji przeciwnej, choć często sami je łamią.

Dzieci łatwo zapalające się, nerwowe, wyciągają ręce, podskakują, ustać wprost na miejscu nie mogą nim doleci do nich piłka lub przyjdzie kolej biegu. Takie wybiegają, lub rzucają piłkę przed nosem, przekraczają granicę oznaczonego boiska i t. p.

Flegmatyczne, zadumane potrafią w największym „wirze walki“ w hałasie

i potracane, iść za biegiem swych myśli lub śledzić wzrokiem lecącego ptaka czy obłoki. Jak często takie dziecko zbudzi się dopiero jak ze snu gdy dostanie piłkę w nos, lub gdy je kolega pociągnie za rękę.

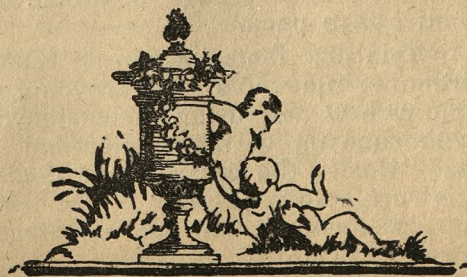
Wszystkie te różnice między dziećmi wyrównać, wszystkie te wady przemódz i opanować, to zadanie wychowawcze gier. Dzieci smutne i kapryśne rozweselić i ożywić, rozhułkane i dzikie uspokoić (znam kilkunastoletnie dziewczynki, które szarpią na koleżankach fartuchy i chwytają je za włosy zupełnie z dobrego serca, ale porwane zapalem gry), wyrobić we wszystkich absolutną rzetelność, poczucie solidarności koleżeńskiej, wszystko to zrobić można umiejętnie prowadząc grę. A cechy te raz nabyte i dobrze przyswojone zostają dziecku już raz na zawsze i w innych dziedzinach życia.

Przy wielu grach, prowadzący nie jest wprost w stanie zauważyć drobnego przekroczenia przepisów. Dziecko nieuczciwe a ambitne, widząc że partję przegrywa, przestąpi linię oznaczoną, za którą nie wolno mu się wysunąć (przy piłce koszykowej, przy wszelkich gonitwach i t. p.) ominię, np. przy wyścigu piłek, paru kolegów, by zyskać na czasie.

Niejedno potem przyzna się do wykroczenia, inne zapierają się do końca, mówią, że to była nieuwaga i t. p. Czasem własna partja zakrzyczy nierzetelnego gracza mimo, że dopomógł do zwycięstwa, czasem go usprawiedliwia. Walka między poczuciem koleżeństwa, a wrodzoną szczerością dziecinna jest wtedy tak ciężka, tak widoczna!

Niekoleżeńskość u dzieci widać najlepiej przy wygranej. Zbyt chępliwa radość, wytykanie nieudolności przeciwnikom, nieliczenie się zupełnie z ich przykrością. Na to łatwiej zresztą poradzić, trudniej doprowadzić do tego, by w czasie samej gry pamiętały o słabszych kolegach. Nie chodzi tu o bezpośrednie okazywanie pomocy, przeciwnie chodzi często o dopuszczanie do zabawy, a nie usuwanie, na szary koniec. Przy zabawach gdzie wybiera się współzawodników, choćby kot i mysz, przerywane wojsko i t. p. dzieci wyróżniają stale jednych i tych samych „najpopularniejszych“, inne nudzą się i czują się upośledzone.

Nauczyć skromności, oduczyć wysuwania się na pierwszy plan, chęci zwrócenia uwagi na siebie tak nieprzyjemnej a częstej, u pewnych dzieci też przy grach łatwo. Są dzieci, które np. przy piłce zawsze będą chwytają lub odbijać wprost odpychając inne lub wyskakując przed szereg, proszą ciągle przeciwników „rzuć do mnie“. Narzekają głośno, gdy łapią inne, że „ja nie mam nic do roboty, cały czas



stoje" i t. p., gdy prowadzący wyznacza na stanowiska, wybiera kota, berka lub rzucającego piłkę do kosza, zawsze takie dziecko pcha się naprzód wołając „ja będę, ja!” Dzieci takie często potem bawią się ospale, a nawet przy pierwszej sposobności gre opuszczają.

Równie ważną rzeczą jest wyrobienie wytrzymałości na ból. Uderzenie, nadeptanie, zderzenie się głowami lub kopnięcie dzieci lubiące się bawić zniosą bez słowa, uważają czasem za punkt honoru nie płakać nawet na widok krwi, „beksami pogardzają.

Szczególniej dla dziewczynek ma to ogromne znaczenie. Nieznośny jest widok podrastającej panienki, która o byle co zalewa się łzami.

Gry wyrabiają więcej może jeszcze niż gimnastyka uwagę, szybkość orientowania się i koordynowania ruchów wpływają tem ogromnie dodatnio na umysłową stronę dziecka.

Trzeba tylko pamiętać o tem, że i zabawy należy bardzo planowo stopniować i uzależniać od fizycznej i moralnej dojrzałości dziecka.

Dzieci silne i zręczne, ale nierozgarnięte każda bardziej skomplikowana gra nuży, muszą wyęczać uwagę żeby pamiętać o prawidłach zamiast bawić się swobodnie. Innym pojętym lecz słabym nie można dawać zabaw męczących, ruchliwych bardzo, lubią one zato gry nawet bardzo złożone np. ulubione przez dziewczynki „klasy”. Takie przy innych grach mogą mieć stanowiska spokojniejsze lecz bardziej odpowiedzialne, mogą być królem czy matką przy grach drużynowych, wrzucać piłkę do kosza przy koszykowej.

Najlepszym dowodem wszechstronnego wyrobienia dzieci jest, gdy potrafią przeprowadzić i trudniejsze gry zupełnie same. Gdy jedno z nich sędziując znajduje posłuch. Ale to osiągnąć się da po długim czasie, często po latach i do takiej samodzielności muszą być dzieci planowo przygotowane.

I. Fabrycowa

28 września odbyły się w Lublinie Wyścigi i Konkursy hipiczne tamtejszego Koła Sportowo-hodowlanego. W biegu myśliwskim za mastrem dla pań brały udział p. Rejowska i p. Horodyńska. Zwyciężyła p. Rejowska.

Charakterystycznym jest szczegół, że jedna z pań siedziała na koniu „po męsku”, druga na damskim siodle. Temu wiele osób przypisywało mniejsze powodzenie tak doskonałej amazonki jak p. Horodyńska.

Z NAŁĘCZOWA

21 września 1924 r.

W pogodne, słoneczne popołudnie pierwszego dnia jesieni odbyła się w Nałęczowie skromna uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej Bolesława Prusa, wmurowanej w zewnętrzną ścianę zakładowego pałacu.

Garstka osób z najbliższej rodziny znakomitego pisarza, przybyłych tu umyślnie na ten dzień—mieszkańcy Nałęczowa, z których wielu ma w łoczach, w pamięci i w sercu czcigodną, pełną dobroci postać Prusa, zjawiającą się póki życia rok rocznie w tej miejscowości—mało, niestety, okolicznego włościanstwa, za to przeważające ilościowo dzieci z ochronki i ze szkoły początkowej oraz wszystka młodzież żeńska ze szkoły gospodarczej ziemianek — składają się na niewielki tłum, biorący udział w uroczystości.

Krótki akt poświęcenia tablicy przez miejscowego proboszcza poprzedza chór młodzieży; następnie parę przemówień: (p. Nagórskiego i p. Giełżyńskiego, jako przedstawiciela prasy), w których brzmi uczuciowa nuta serdecznego wspomnienia zasług wielkiego pisarza oraz jego zespolenia z wyróżnianym zawsze przezeń Nałęczowem.

Znowu chóry, rota odśpiewana z przejęciem przez wiejskie dziewczęta i składanie wieńców przez młodzież i przez dzieci pod marmurową tablicą z wyrytym napisem: „Bolesław Prus, autor „Placówki,” wielbiciel Nałęczowa, w tym pałacu przebywał i tworzył.”

Oto wszystko.

Rozłożona słońcem, wiejska cisza, jeszcze lato przypominająca zieleń drzew i krzewów pięknego parku nałęczowskiego, stanowią tło niezwykle szarmonizowane z treścią uroczystości.

W tej krótkiej chwili odzicia wspomnień o człowieku, który swój twórczy trud i swoją pracę niósł całej Polsce, — przepłynął zda się nałęczowskimi pagórkami i wawozami dobroliwie wyrozumiały uśmiech tych ust, z których płynęło serdeczne i podniosłe słowo dla wszystkich.

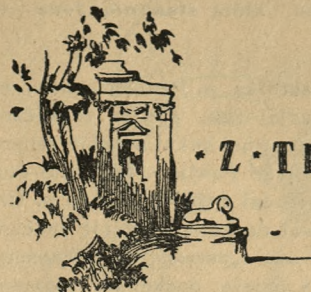
Słoneczne ciepło tego uśmiechu, przewijającego się życiem i twórczym dziełem Prusa, niezapomnianego wychowawcy szerokich mas, to bodaj zasadniczy ton jego ducha, a prostota, z jaką to ciepło rozdawał potrzebującym — to charakterystyczna cecha jego osobowości.

Te dwa elementy były obecne chwili odsłonięcia pamiątkowej tablicy. I one to owiały urokiem skromną uroczystość, przygotowaną i uskuteczniłą staraniem grona prywatnych jednostek z panią W. Nagórską na czele.

Pierwotny projekt wystawienia tu pomnika Prusa, na co wystarczyć nie mogły zebrane fundusze, skurczył się do rozmiarów dziś odsłoniętej tablicy.

Ale estetyczny i szlachetny w prostocie swej wygląd tejże wyraża tyleż, a może i więcej, niż imponująca rozmiarami pomnikowa statua.

Marja Hornowska.



• Z • TEATRÓW •

TEATR MAŁY.

„Malowana Żona” Groteska w 3-ach akt. Napisła Magdalena Samozwaniec. Reżyserował A. Zelwerowicz. Dekoracje według projektu autorki.

Rzecz dzieje się współcześnie w Krakowie.

Kobieta jest zmienną i lubi robić niespodzianki! Tym razem p. Magdalena Samozwaniec zrobiła publiczności warszawskiej istotnie... „niespodziankę.” Zresztą Magdalena Samozwaniec jest enfant gâtée dzisiejszej literatury polskiej, — a więc może sobie pozwolić nawet na taki kawał — po którym starsi mają smutne miny.

Tak jesteśmy spragnieni śmiechu! Tak już mamy dość tych patosów na codzień, i tych grobowych min nastroszonych od rana do późnego wieczora, że jeżeli ktoś ukaże nam w szczerem roześmianiu zdrowe, białe zęby — jesteśmy gotowi śmiać się z nim do upadłego. Gdy ktoś przyjdzie ku nam z wesołością radosną, nie robioną, z wesołością najlepszej marki — a więc taką, którą ma we krwi, przyjmujemy go jak najmilszego gościa z otwartymi rękami, nawet wówczas, gdy przyniesie nam dowcip niekoniecznie i niecałkowicie oryginalny — ale zato podany w doskonałej formie. Świetna książka Magdaleny Samozwaniec — „Na ustach grzechu,” święciła nlebywałe triumfy, to też na przedstawienie „Malowanej Żony” biegliśmy z taką predyspozycją do wesołości i z takim mocnym postanowieniem śmiania się, iż nie mogliśmy się pogodzić z tem, że jesteśmy wystrychnięci na dudka — i że ta ponoć najweselsza z kobiet — kazała nam siedzieć z poważnymi minami przez całe 3 godziny. Bo „Malowana Żona” ma tu i owdzie dowcip dobry, nawet niestety, wypróbowanie dobry, ma ten lub inny epizod doskonały — (jak np. ów dowcip z obywatelem ziemskim Gzubskim i z jego teorią kopersztyków, lub owa scenka z hrabią Uszańskim) — ale całość groteski nie ma jednego koniecznego warunku: — nie ma w sobie wesołości. Bo ani nuta cynizmu, która brzmi w powiedzeniach Klaudjusza Pawika malarza futurysty, ani tonik mocno swobodny — w scenie między Pawikiem a kucharzą i t. d. i t. d. — nie stanowią o wesołości i humorze sztuki. A to jest właśnie brak, którego nie możemy darować autorce. Za cenę dobrego śmiechu chętnie zapomnielibyśmy o innych słabych momentach sztuki.

Cóż, — kiedy tym razem nie było nam wesoło, bo nawet w najlepiej pomyślanym akcie trzecim autorka zbyt późno zapuściła kurtynę i pozwoliła — że wybuch śmiechu wytłął i wygasł doszczętnie po dobrej

ocenie, gdy mąż i odpalony lowełas szkicuja „grupe w uścisku,” którą stanowią: żona i tęgi „bicepsiak.”

Świetna aktorka, p. Pancewiczowa, nie czuła się w swojej roli, ale za to ślicznie wyglądała w oryginalnej sukni w akcie drugim. P. Maszyński — jako Pawik — futurysta dużo gwizdał, ale mało dał z siebie, za to p. Grabowski imponował doskonałą dykcją znacznie bardziej, niżeli swą „paryską wytwornością.” Pani Czaplińska miała doskonale momenty w roli kupcowej, Reginy Weintraub, a p. Orwid — jako Gzubski zbierał zasłużone oklaski.

p.



Poezje — Wacławy Grodzickiej-Czechowskiej
tom I—IV.

Gdy pierwsza pieśń serca, kreślona drzącym piórem młodej poetki, brzmi górnio i wdzięcznie, jest to objawem sympatycznym, ale nie rzadkim. Gdy jednak ton lutni poprzez burze życia i świata dźwięczy jak spiż i złota nić, wiążąca stropy niebios z ziemią, pozostaje zawsze wierna sobie, i na krystalicznych swych falach niesie wszystkie uczucia ludzkie, nieskalane brudem, zawsze wzniosłe i piękne — musi każdy, nawet najkrytyczniejszy umysł ogarnąć zdumienie. Tęsknota za słońcem i wiarą, za dobrem i pięknem, miłość kraju i ludzi, ukochanie przyrody, ukorzenie się przed wielkością i nieskończonością zlewają się w czterech tomach Poezji Wacławy Grodzickiej-Czechowskiej w wielką, harmonijną całość. Co więcej, akord ducha i serca podany jest w beznagannej formie, jędrnej treści, bogatej w odmiany a nigdy nie przymuszonej strofie, w pełnym umiaru rytmie. Nastrój i natchnienie — piękność i czystość ideału — poświęcenie się prawdzie — w godowe zaiste przybrane szaty!

Więc gdy w tomie I, zaopatrzonym w pełną uznania przedmowę Józefa Jankowskiego, a wydanym w r. 1913, za motto bierze:

Męką jest słońce w piersi nieść, gdy w czynie
Ni jeden promień złoty nie popłynie:
Pozwól mi duszę moją wcielić w czyn!
Bo, choćby wielkie były moje winy:
Niech w beczynności dusza mi nie zgini!

a swą tęsknotę za słońcem szczęścia i wolności wypowiada w wspaniałym proteście zakonniczy młodej, zamkniętej „W klasztorze.”

Gdy w tomie II, pisany na wygnaniu „W Stepach” chersońskich wiedzie jeszcze tylko natchnione rozmowy z Bogiem, Ojczyzną i losem, a ukojenia szuka w wizji „Pobudki:”

Piastów ziemia mi dała ciało, serce, duszę,
Jeszcze dzisiaj po drogach widzę ślad rycerzy—
Widmo dziejów oglądam, wchodząc w leśne
[głusze —
Miecz poświęcony, rdzawy, jak skarb w ziemi
[leży.

I słyhać rozgwar bitwy... Czy trąbki pastusze,
Czy to hasło pradziadów z rosą ku nam bieży?
Jaki szum chorągwi... hełmy, pióropusze,
Orle czoła, szczęk broni, ostróg i pancerzy...

to już tom następny „Ku Ojczyźnie” zbliżył poetkę ku swojej ziemi i swoim, już tęsknocie jej dał kształty realniejsze. Więc wyciąga ramiona i woła:

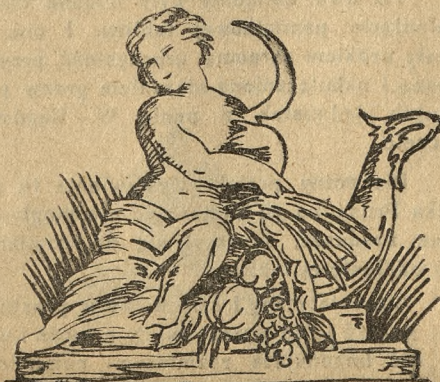
O Polsko, ojców ziemię nieskalana,
Oblubienico Ducha — z krzyżem w dłoni:
Wieki przed Tobą gną kolana,
A biały orzeł u Twej skroni,
Wpatrzony w rubin Twego łona,
Ku zorzy świtu głowę kłoni —
Bądź pozdrowiona. —

i kończy wezwaniem:

Matko narodu, Polsko! Nasza Ziemiolo!
Dotąd się przecież pod lazurem pali
Serce Twe! Tyś jest jak słońce na fali
Wieczności. Głosu dobądź — nie oniemia
Cię wrogi Twoje, pókiś wolna duchem...
Wstań. Zbierz Twe syny, niewolą zwałone,
W ogniu je spróbuj, — proch odrzuć na stronę, —
Wstań i ostatni raz targnij łańcuchem!...

A kiedy już wyśpiewała pieśń na zgon Henryka Sienkiewicza i rozwiązanie I Korpusu Wojska Polskiego, kiedy zamknęły się za nią smutne wrota obczyzny, dozwolonem jej było wejść do Tej, która, zawsze wolna duchem, stała się wolna i ciałem.

W tomie IV znajdujemy poetkę „Wśród Swoich” i odtąd już pieśń do Polski i o Polsce, owiana żarem oddania, miłości i ofiary,



płynie przez jej usta z takim bogactwem uczucia i radości, że dusza jej jest jak ten „Kościół:”

Pośród białej owczarni chat, posąg pasterza
Biały, wyniosły, smukły, niby czujność ducha:
Stopą tkwi w glebie, łanów zwartych kręgiem—
[słucha,
A czołem o niebieskie podwoje uderzał

klęka więc i modli się w uwielbieniu:

Biały Ptak — skrzydła rozwarzył i płynie —
Wyżej, ku szczytom! ujarzmia mię, wołał
Chata w najwyższą urasta świątynię,
Głos w hymn urasta, a człowiek w anioła.
I wypłomienia się Jutra Mocarzem
Naród, co w Chacie tej jest gospodarzem.

I chociaż czujne jej oko ostrzega serce kochające, przestroga poetki nie karci, lecz podnosi:

Wolni! przecz tacy swarliwi.
I tacy smutni, tęskniący...
O drodzy moi, my żywi!
Pierś nasza — krater gorący!

Strąmy precz gady, liszaje,
Brud, pył i opar trzęsawisk:
Miłość i wiara niech staje,
Na czele życiowych zjawisk.

A potem wita się z wszystkim, co widziała w snach na wygnaniu, składa hołd mogiłom i cniom, aż kończy wreszcie wspomnieniem „Z niedawnej martyrologii, ku wiecznej pamięci” i głos daje tragiczny, bólem i łzami przepełniony „Matce Unitce,” co dziecko w ucieczce przed prawosławiem traci i w rozgrzebanej własnymi rękoma mogile kryje. Lecz i tu jeszcze, w tej ciemnej otchłani męki i zwątpienia, wiara odnosi zwycięstwo:

W tułaczce mojej i w nadludzkim bólu
Wołam: już bije godzina!
Moce dwie zwarły się na bojów polu,
W zapasach srogich i w drgawkach konania:
Ach! niby słońce, co z mgieł się wylania —
Moc ta zwycięży, co jest z—Miłowania...
Wstań!... W imię Ojca i Syna. —

Akordem nadziei zakończyła poetka bogatą pieśń swej duszy. Jakoby tchnienie ożywcze przebiegło strudzone umysły, jakby zapowiedź lepszych myśli, dążeń i pragnień. Bo oto w trudzie i walce przekuwają się serca polskie i wzrok narodu zwraca się z przyziemnych zabiegów ku szczytom, których wierną była strażniczką. Jest już zapowiedź zmiany na lepsze, brzask odrodzenia ducha narodu już świta i niebawem spełnią się słowa Józefa Jankowskiego, który pisze na wstępie do tomu II: „Wróć, wróć wojownicy z wyprawy! Sztandary przad ołtarzem tym Piękna pochyła, zdejmą z niego bogobojnie ten sznur ofiarny i do skarbca rodzinnego z pieśnią gromką wolności zaniosą.”

Tadeusz Jaworski.

CZEPCEZKI



Śliczne dopełnienie rannego i nocnego negliżu, to — nieodzowny czepcezek.

Do koszul nocnych, dostosowany barwą, gatunkiem tkaniny, bez kokard, które po jednej przespanej nocy są wymięte i nieświeże, powinien być nadto fasonu ściśle przylegającego do głowy, ale bez gumy, która zwykle uciska i łatwo powoduje migreny.

Do szlafroka czepcezek strojny, haftowany, przybrany koronką, misternie uwinętymi z miękkiego, barwnego jedwabiu, kwiatkami, kolorowy wyszywany, lub, z tak bardzo dzisiaj modnej, złotej, albo srebrnej koronki, musi jednak zawsze tworzyć całość z negliżem.

Do skromnego, rannego szlafroka, który dopiero po ukończeniu zajęć domowych, zmieniony zostaje na kostjum, lub suknię, ślicznie pasuje skromny, zwyczajny, riuszą na oczy spadająca, wykończony czepcezek. I niesłychanie łatwo wykonać go samej, z kawałka tiulu, lub cieniutkiego batystu.

Należy skroić koło o średnicy 47 cnt. i obszyć je naokoło wążutką koroneczką, najlepiej walansjenką. Następnie przygotować pasek tiulu, szerokości 7 cnt., a długości równej obwodowi koła. Pasek ten obszyć z dwóch stron tą samą koroneczką i układać go na kole, równo z brzegiem, przyszyć środkiem drobnymi ściegami (r. 4). Naddawać tylko tyle, ile koniecznie trzeba, żeby się pasek na kole dał ułożyć. Na linii szwu naszyć wąską pliseczkę, lub wążutką walansjenkę do przewlekania, nawlec wstążką, zciągnąć tak, żeby pasował do głowy, i związać z boku na kokardkę. Równie ładną jest prosta bretonka z organdyny (rys. 3), wykonana w następujący sposób: Formę a (rys. 5) wykrawa się z organdyny podwójnie złożonej i zeszywa się z formą b., wykrojoną z pojedynczej organdyny. Cały brzeg formy b podszywa się plisłą i zciąga na gumkę. Brzegi formy a zostają nie zciągnięte i na głowie, odgięte ku tyłowi formują ładne rozki.



Oryginalnie wygląda ujęcie włosów szerokim pasem, formującym nad czołem trójkąt, a zwężającym się stopniowo i związanym, lub spiętym na tyle głowy (rys. 2). Dokładną formę takiego czepczka podajemy na ostatniej stronie dodatku mód. Można go zrobić z białej organdyny, haftowany podług rys. 573, lub z cieniutkiego szarego płótna, kolorowo haftowany, jak na rys. 574, a zawsze tworzy ładne zatuszowanie, niezbyt dokładnego rannego uczesania.

Nad wyraz łatwa do zrobienia, a przy zręcznym ułożeniu formująca śliczny czepcezek, jest zwyczajna prostokątna chusteczka wielkości 47x42 cnt. z batystu, markizety, lub crêpe de chine'u, maszynowo przemereżkowana i na mierzce przecięta, lub wykończona wąskim obrębem.

Nad wyraz łatwa do zrobienia, a przy zręcznym ułożeniu formująca śliczny czepcezek, jest zwyczajna prostokątna chusteczka wielkości 47x42 cnt. z batystu, markizety, lub crêpe de chine'u, maszynowo przemereżkowana i na mierzce przecięta, lub wykończona wąskim obrębem.



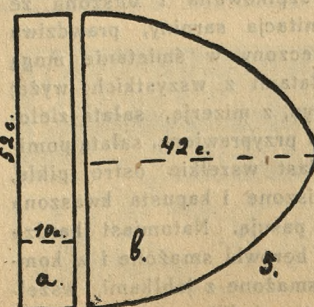
Związuje się ją wstążką niezbyt szeroką, dokoła głowy, odwijając dwa przednie rogi, które podsunęte z góry pod wstążkę, układają się w formie kwiatnych liści i wyglądają ślicznie.

Na czepczki zwyczajne noszone na co dzień, na noc lub do szlafroka powinno się używać materiały dobre do prania: batyst, tiul, markizetę i t. p., a przybranie powinno być takie, żeby je łatwo było odjąć przed każdym praniem, a potem na nowo przyczepić. Natomiast czepczki strojne, używane do bogatego negliżu — robi się zwykle z gazy, gipiury lub nawet złotej, albo srebrnej, koronki.

Jako przybranie śliczne są różnego rodzaju kwiatki, ukrecone z kawałków kolorowej materji, — wianuszki wymarszczone ze wstążeczki i t. p.

Tu znajdzie pole do popisu, pomysłowość i gust każdej z nas, bo kształtów i sposobów zrobienia i przybrania czepczków jest tysiące, a w archiwum domowym odszukamy zawsze kawałki koronek, wstążek i jedwabiu, z których śliczne rzeczy stworzyć nie trudno.

Jeżeli w dodatku przypomnimy sobie, co mówiły nasze pra-prababki, że szczęście w miłości chodzi podobno w parze z buziakiem, któremu ładnie w czepczku, będzie to nam zachętą do otoczenia specjalnym staraniem tego ślicznego, zwiewnego, dopełnienia naszego negliżu.





PRZYSTAWKI DO ZIMNYCH MIĘS.

Na wieczornych przyjęciach coraz rzadziej się spotyka gorące kolacje, — nieduża ilość służby, jej brak wprawdy w podawaniu i w samodzielnym przyrządzaniu potraw sprawia, że większość gospodyń, mimo najserdeczniejszej chęci uraczania jak najlepiej swoich gości, musi się ograniczyć do zimnej przekąski. Główną podstawę tych przekąsek stanowi zwykle jakieś danie mięsne, a więc — rozbef czy zając, szynka czy pularda, cielęcina czy prosię, indyk czy schab wieprzowy. Rozmaitość mięs jest ogromna, rzecz cała jest jednak w tem, aby to mięso podać w odpowiedni sposób, z odpowiednimi dodatkami, aby nie tylko zachować, lecz nawet podnieść jego smak właściwy. Niestety, jeżeli wysoko u nas stoją tradycje przyrządzania flaków i bigosu, jeżeli każda gospodyni ma swój, rodzinny sekret nadzwyczajnego tortu czy mazurka, kiedy chodzi o podanie zimnej kolacji, zdarzają się takie dziwolągi jak grzybki marynowane podane do indyka i kompot morelowy do rozbefu.

Postaram się dzisiaj wyliczyć najbardziej używane mięsiwa, wskazując, jakie przystawki są do nich odpowiednie.

Zacznę więc od wołowiny:

Czy to rozbef, czy sztufada szpikowana, czy zwykła pieczeń, mogą być podane w towarzystwie każdej sałaty jarzynowej, mieszanej czy oddzielnej, np. kartoflanej, z fasoli białej czy kolorowej, fasoli zielonej, szparagów, kalafiorów, marchewki, selerów, kapusty czerwonej, — wszystkie te jarzyny powinny być ugotowane, zaprawione octem i oliwą, lub sosem „provençal” i postać w nim godzin parę. Sałata zielona ze śmietaną, z octem i oliwą, z sosem żółtkowym, z sosem musztardowym, — mizerja z ogórków, sałata z pomidorów samych, lub mieszanych z kartoflami, czy z jajami na twardo, wszelkie ostre pikle, korniszony, grzybki marynowane wszelkiego rodzaju, ogórki mało-solone i kiszzone, kapusta kwaszona, ćwikła z buraczków, wszystko to są smaczne i odpowiednie dodatki do każdej zimnej wołowiny.

Mało używanym mięsem, a jednak bardzo strawnym i smakowitym jest baranina przyrządzona na sposób sarny, to jest marynowana dni parę w occie z korzeniami, lub zsiadłem mleku, szpikowana i duszona ze śmietaną, taka imitacja sarniny, prawdziwa sarnina i zając pieczony w śmietanie mogą być podane z sałatami z wszystkich wyżej wymienionych jarzyn, z mizerją, sałatą zieloną w różny sposób przyprawioną, sałatą pomidorową, — natomiast wszelkie ostre pikle, grzybki, ogórki kiszzone i kapusta kwaszona wcale do nich nie pasują. Natomiast bardzo odpowiednie będą borówki smażone i w kompocie, żórawiny smażone z jabłkami, wszelkiego rodzaju sałaty słodkie octowe, gruszki

i śliwki, wiśnie, jabłuszka rajskie, pomidory zielone, — mogą też być użyte kompoty ze świeżych owoców, ugotowanych oddzielnie gatunek każdy, lub też mieszane, — przyczem należy pamiętać, że kompot do pieczonego powinien być mniej słodki niż ten, który jest na deser podawany. Do schabu czy pieczenia wieprzowej i do cielęciny pieczonej są odpowiednie wszelkie sałaty jarzynowe i kartoflane, pomidorowe, z czerwonej kapusty, ogórki świeże i kwaszone we wszelkich postaciach, borówki i żórawiny, kapusta kwaszona zaprawiona oliwą i cukrem, wszelkie sałaty octowe słodkie i wszelkie kompoty owocowe, — zupełnie wykluczone być powinny korniszony i pikle, grzybki i rydzyki, — chociaż, co do korniszonów, można je ostatecznie podać do zimnej wieprzowiny, lecz tylko dla amatorów bardzo ostrych przypraw. Z drobiu gęś i kaczka pieczona, jako bardzo tłuste i mniej strawne, rzadko są na zimno podawane, a raczej rzadko są podawane pieczone, — bo w galarecie jedne i drugie są wyborne, — galareta jednak innych przystawek oprócz dobrego sosu nie znosi. Gdyby jednak kto chciał podać zimną gęś lub kaczkę, to najodpowiedniejszym dodatkiem do nich będzie kompot z jabłek, lub też jabłka upieczone i przetarte na marmeladę i zaprawione cukrem, — pozatem borówki smażone i w kompocie i wszelkie kompoty octowe i ze świeżych owoców. Kapusta czerwona i zwykła kwaszona, zaprawiona oliwą i cukrem, mogą tu ostatecznie być podane. Prosię, gdy się podaje w galarecie, dodaje się do niego chrzan ze śmietaną lub sos tatarski. Prosię pieczone jest najczęściej nadziane farszem pasztetowym, odpowiednim więc do niego dodatkiem będzie sos „provençal” lub musztardowy, grzybki marynowane i szarlotki, (drobne cebulki w occie) pikle i korniszony będą też stanowiły odpowiedni doń dodatek. Indyk i pularda, kurczęta i kuropatwy najlepiej smakują z kompotami, przyczem fantazja gospodyni i kucharki ma szerokie pole do popisu. Oprócz świeżych owoców mogą być użyte suszone, amerykańskie, morele i brzoskwinie szczególnie dobrze przyrządzone nie różnią się niczem od świeżych. Dobre borówki smażone lub w kompocie, śliwki, wiśnie i gruszki w occie, marmelada z jabłek lub moreli, z malin lub agrestu, wszystko to są przystawki odpowiednie do drobiu i ptactwa dzikiego, — gdyby jednak podawano sos „provençal” wtedy wszelkie przystawki słodkie byłyby nieodpowiednie i należałoby się ograniczyć sałatą zieloną, mizerją z ogórków lub też włoską sałatą mieszaną z jarzyn. Szynka i ozór podają się z sosami ostrymi jako to: tatarski, musztardowy i „provençal” można też do nich podać sałatę kartoflaną lub włoską, jarzynę mieszaną. Oprócz tego do wszystkich ciemnych mięs można podawać ostre sosy i sosy angielskie. Za najbardziej wykwintny sos słusznie uchodzi „Cumberland” może on być użyty prawie do wszystkich zimnych mięs białych i ciemnych, szczególnie z sarniną i kaczką dziką i domową jest on wyborny. Oryginalny przepis angielski podaję tutaj dzisiaj:

Pół szklanki galarety porzeczkowej, kieliszek madery, łyżkę hiszpańskiej cebuli utartej na tarce, trochę skórki cytrynowej i pomarańczowej utartej na najcieńszej tarce, sok z jednej pomarańczy i z pół cytryny, szczyptę

papryki, szczyptę imbiru i łyżkę musztardy angielskiej lub francuskiej „Diaphane,” dobrze wymieszać na ogniu, aż masa się stanie jednolita. Zastudzić, wymieszać raz jeszcze i podawać bardzo zimny.

Oprócz sosu „Cumberland,” podam jeszcze przepis wybornej sałaty pasującej do wszystkich prawie mięs zimnych, za wyjątkiem może indyka i pulardy. Czwierć funta białej fasolki drobnej ugotować na miękko. Ugotować w łupinach dwa duże selery, (najmniej pół funta ważyć) obrać i pokrajać w cienkie plasterki. Średnią główkę czerwonej kapusty poszatkować jaknajcieńiej, sparzyć wrzątkiem, potrzymać minut dwadzieścia pod pokryciem, wodę zlać, kapustę osolić i skropić mocnym octem, aby zczzerwieniała. Na salaterce układać rzędami kapustę, fasolę i selery, oblać wszystko sosem utartym z żółtka surowego, łyżki domowej lub ostrej angielskiej musztardy, dwóch łyżek oliwy i dwóch łyżek octu, dodać można też łyżkę cukru, — nie zapomnieć poprobować czy jarzyny dosyć osolone. Potrzymać tak przyrządzoną sałatę przez godzin parę przed podaniem na chłodzie.

CZYSTY BULJON POMIDOROWY I POMIDORY FASZEROWANE ZAMIAST PASZTECIKÓW.

Na pięć osób wziąć piętnaście równych, mięsistych pomidorów, skrajać z nich płasko dół, łyżeczką wydrążyć ziarenka i miążgę ze środka, zostawiając jej na palec koło ścianek. Z pół kila mięsa ugotować rosół z włoszczyzną, cebulą, dodać parę ziarn pieprzu, gałązkę majeranku, listek, rosół odcedzić, aby był zupełnie czysty. Środki pomidorów udusić w rondelku z łyżeczką najlepszego masła, dodać pozłotę (tłuszcz z rosołu) przefasować przez gęste sito, zmieszać z rosołem, dać zagotować się raz jeszcze, gdyby było mało kwasu, dodać nieco soli cytrynowej. Mięso zagotowane przepuścić przez maszynkę, dużą cebulę usiekaną przesmażyć z masłem, wymieszać z tem mięso, opieprzyć nieco, nadziewać niem wydrążone pomidory. Błachę wysmarować masłem, ułożyć na niej pomidory, osypać bułeczką, kto lubi ostro, tartym serem, wstawić pod blachę dla zrumienienia. Podawać bardzo gorące do buljonu pomidorowego lub zwykłej, białej zupy pomidorowej.

RYŻ ZAPIEKANY Z POMIDORAMI.

Czwierć kilo ryżu zagotować na sypko dodając doń 100 gr. najtłustszego boczku wieprzowego, pokrajanego w drobną kostkę. Pół kilo bardzo dojrzałych pomidorów pokrajać w plasterki. Metalowy półmisek wysmarować masłem, układać rzędami ryż i pomidory, ostatnia warstwa powinna być ryżu. Polać kilku łyżkami rosołu, lub kostką suchego buljonu, rozpuszczoną w półszklance wody, skropić masłem, osypać serem ostrym i tartą bułeczką, wstawić na minut 20 pod blachę podawać bardzo gorące.

Pani Elżbieta.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 42

556. Suknia z tiunika z materiału w kratę, przybrana gładkim, ciemniejszym materiałem. Kołnierz w formie szala.

557. Suknia z granatowej wełny. Kamizelka z popielatego sukna, przybrana haftem granatowym ze srebrem.

558. Bluzka z crepe de Paris koloru kreciego, przybrana wstążeczką mieniącą, przeciągniętą przez ozdobną klamerkę.

559. Sukienka dla dziewczynki od lat 10 do 12, przybrana dużą, taftową kokardą.

560. Bluzka z deseniowego crepe marocain. Kołnierz i mankiety z białej materji, wykończone mareżką.

561, 562. Suknia z żakietem z jednakowego materiału koloru hawana. Haft kolorowy wykonany wełną i jedwabiem.

563. Kostjum jesienny z sukna koloru mchowego. Kołnierz futrzany.

564. Szlafrok z baji, lub piaskowej flanelki. Kołnierz i mankiety niebieskie.

565. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6 z welwetu granatowego. Wypustki i kokarda z ponsowego jedwabiu.

566. Szlafrok z bai lub flanelki ponsowej. Kołnierz dziergany i wyszyty czarną wełną. Sznur w pasie czarny.

567. Kostjum jesienny z granatowego sukna. Żakiet i kołnierz, przybrane drobno układanymi pliskami z tego samego materiału.

568. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 7, przybrane ręcznym haftem.

569. Suknia dla młodej panienki z ponsowego crepe marocain. Dół naszywany czarnymi pacioremkami.

570. Skromne palto jesienne przybrane naszyciem z wążutkiej czarnej plecionki.

571. Bluzka z deseniowego crepe marocain. Kamizelka z białej materji, drobniutko dliowana.

572. Motyw haftu na czepek ranny.

573. Wzór na czepek (do artykułu p. t. „Czepeczki“). Haft biały na organdyne.

574. Wzór na czepek (do artykułu p. t. „Czepeczki“). Haft kolorowy na cienkim, szarém płótnie.

575. Rysunczki do wyszycia czarną nitką, pocztowym ścięciem na narożnikach chusteczek.

Nadesłane do Redakcji

PORADY KOSMETYCZNE.

Z. Z. w Grud. Jeśli piegi zniknęły, to nadal „Petunji“ używać nie trzeba. Za słowa uznania dziękujemy.

Pani L. K. Wyślemy proszek alkaliczny „Sveno.“ Nacierać miejsca pokryte wągrami watą umaczaną w ciepłej wodzie i w tym proszku.

Nauczycielce. Tylko elektroliza. Depilatoir działa tylko chwilowo.

Dr. Roemer.

„EWARYST”

Marszałkowska 114

TELEFON: 30-17. 224-68.

WIELKI WYBÓR PERFUM,
KOSMETYKI I FARB FRAN-
CUSKICH DO WŁOSÓW.

268

MAGAZYN BIAŁYCH TOWARÓW
FELIKS SKRODZKI I S^{KA}

BRACKA № 16

282

Poleca nowości jesienne i zimowe!

L. BRZozowski i W. ROMOCKI

ALEJA JEROZOLIMSKA 24 M. 14.
(parter wprost bramy).

Polecają swoją pracownię ubiorów męskich i damskich, gdzie można się ubrać za gotówkę i NA RATY.

!!CENY KONKURENCYJNE!!! 276

Precz z niehigienicznym trzepaniem!

ODKURZACZE
ELEKTRYCZNE

poleca

Biuro Elektrotechniczne
S. ZYGADŁO i W. LEGOTKE, Inżynierowie
Warszawa, ul. Marszałkowska 72. Tel. 76-73

275

Dr. I. SADOWSKA

Krakowskie Przedmieście 7.

Leczenie Seborrei, trądzika, włosów, opierzchnięcia, czerw. twarzy, nosa.
151 Kosmetyka lecznicza.

F. LEGOTKE

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 72

TEL. 119-53.

POLECA:

ARTYKUŁY PASMANTERYJNO TIULOWE,
HAFTY, KORONKI, TRYKOTAŻE
ORAZ KONFEKCJĘ DZIECIĄCĄ.

DENTOSAN

NAJLEPSZA PASTA DO
ZĘBÓW.

Żądać wszędzie!

278

HAZ-ELITE

Wyborowy KREM udelikatniający i bielący cerę.

Polecamy doskonałe mydło
przeciw łupieżowi



„Fr. Karpiński”
W WARSZAWIE.

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

WARSZAWA,

MARSZAŁKOWSKA № 145

NAJLEPSZE ŹRÓDŁO ZAKUPÓW

DOSKONAŁY KRÓJ I WYKOŃCZENIE

CENY MOŻLIWIE NISKIE

Wielki
WYBÓR GOTOWYCH

Piękny
DOBÓR FASONÓW

SUKNIE
KOSTJUMY
OKRYCIA

OBUWIE
MĘSKIE,
DAMSKIE

poleca:

C. GADZIŃSKI, S-to Krzyska 5, w podwórzu.



Z dniem 1 paźdz. r. b. ceny ogłoszeń jesteśmy zmuszeni podnieść o 100%. Nowe ceny uwidocznione są poniżej. Mimo podwyżki—ogłoszenie w „Bluszczu” pozostaje nadal najtańszą i najkorzystniejszą reklamą.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową
WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 180 zł. — gr.
1/2 „ 104 „ — „
1/4 „ 60 „ — „
1/8 „ 32 „ — „
1/16 „ 18 „ — „
1/24 „ 12 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.
Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń

Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu”.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

SKŁAD FUTER

i KONFEKCIJ FUTRZANEJ

FELIKSA KIZYK

WARSZAWA

Marszałkowska 119 — tel. 155-86.

Magazyn Konfekcji Damskiej
WŁADYSŁAWA SUDYK

Przyjmuje zamówienia terminowe z powierzonych materiałów na swetry, bieliznę i t. p.

!!Robota wykwiłtna!!

Wykonanie solidne i punktualne.

Warszawa, Nowy - Świat 12.
Pracownia przy sklepie.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115 preparat roślinny, pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

ANTONI
WYPYSZYŃSKI

SZEW C TEATRALNY

NIECAŁA 5.

266

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40